

CZEŚĆ I

Kochany Ziemowicie

Minie zapewne jeszcze wiele lat, nim przeczytasz te wspomnienia. Postanowiłem jednak zapisać je już teraz, póki jeszcze świeża jest ma pamięć i póki żyją ci, którzy brali udział w opisanych tu sprawach.

Jest to opis okoliczności, w których dane było Ci przyjść na świat. Sam brałem czynny udział w owych niezwykłych wydarzeniach i niejako własną ręką przyczyniłem się do obecnego stanu rzeczy. Jednakże nie wszędzie dane mi było być obecnym, część więc wspomnień jest jedynie zapisem relacji osób, które brały w tym udział. W związku z tym mogą się one mijać nieco z prawdą. Za co z góry przepraszam.

Oczywiście domyślasz się, że Twoja matka nie powinna wiedzieć o tych zapiskach (jak również o wielu rzeczach, których Cię nauczyłem)? Gdyby zabrakło mnie na tym dobrym świecie, przekaz je proszę wujowi Leclercowi, lub któremukolwiek z nauczycieli, przybocznych bądź doradców Twego ojca. Jako zaufani członkowie mej organizacji, zasługują oni na poznanie wszystkich detali tej historii...

Ty zaś wyciągnij z tej lektury nauki. Pamiętaj, że zbliża się dzień, kiedy cała Twoja wiedza, którą tak uporczywie Ci wpajamy, będzie musiała zostać wykorzystana, dla dobra świata...

Twój wierny mentor,

Owizor herbu Rożenek

Terala, siedem dni przed Wiecem

Działo się to pod koniec Lipca - jedyne go miesiąca, kiedy w Terali przestaje być wietrznie i pochmurno. Przez te kilkanaście dni przyroda rozkwitała, a słynne teralskie puszcze przybierały swe najpiękniejsze oblicze.

Z samego ranka do oddziału dywersantów Batiarusa, w którym wówczas służyłem, przybył ostatni agent. Przyniósł wraz ze sobą ostateczne koordynaty od rady Castorów. Otrzymane przez nas zadanie było proste: wspierać kniazia Dragana w tych ostatnich dniach przed wiecem, by zdobył buławę Wojewody. Czasu mieliśmy jeszcze dużo, a sytuacja wydawała się stabilna. Dlatego też postanowiliśmy rozejrzeć się po okolicy, w poszukiwaniu wszelkiego rodzaju magicznych artefaktów, które mogłyby przydać się naszej organizacji w przyszłości.

Nasz wzrok padł na opuszczony Wielki Zamek, niedaleko wergundzkiej fortalicji Srebrnohora. Zarówno ja, jak i mój dawny mentor – mag powietrza Leclerc – wyczuwaliśmy tam potężną emanację magiczną.

Wynajęliśmy pewnego poznanego niedawno inżyniera, zwanego Dagobertem, by oprowadził nas po kazamatach. Ów chętnie przystał na naszą propozycję, gdyż sam był ciekaw detali architektonicznych twierdzy.

Do podziemi dostaliśmy się krótko po zachodzie słońca. Większość dobytku pozostawiliśmy w niedalekiej wsi, na zwiedzanie zamku zabierając jedynie broń i podręczne bagaże.

Dagobert był bardzo sprawnym inżynierem – błyskawicznie wskazał najsłabszy punkt umocnień opuszczonej twierdzy. Za pomocą magii utworzyłem tam prosty tunel, dzięki któremu łatwo zeszliliśmy prosto do kazamat pod zamkiem. Nie zdążyliśmy jednakże wykonać dwóch kroków w głąb korytarzy, gdy całym kompleksem wstrząsnęło potężne wyładowanie magiczne! Nagły wstrząs zawałił naprędce wykopany przeze mnie szyb. Zostaliśmy uwięzieni pod ziemią.

Gdy tylko pył opadł, a pierwszy szok minął, rozpoczęliśmy poszukiwania wyjścia. Po kilku minutach błądzenia po kazamatach niespodziewanie natknęliśmy się na innych uwięzionych tu ludzi, którzy nie mieli prawa dostać się tam bez naszej wiedzy. Wszyscy byli przerażeni i kompletnie zdezorientowani. jedyne znalezione wyjście było zablokowane jakąś dziwną, nieznaną nikomu magią...

Po długich godzinach błądzenia po podziemiach sytuacja stała się w miarę jasna; Znalazło się tu w jakiś niewyjaśniony sposób niemalże trzydzieści osób. Niemal wszyscy trafili tutaj w wyniku teleportacji. Jedyne wyjście zablokowane było jakąś dziwną magią. Z notatek znalezionych wśród kamieni udało nam się odczytać, iż przełamać blokadę można za pomocą odpowiedniego zaklęcia. Mieliśmy do niego słowa, jednakże brakowało nam jednego komponentu: wspólnej cechy wszystkich tu przysłanych. Po długich dyskusjach uznano, iż zapewne chodzi o krew.

Przełamywanie bariery było nad wyraz problematyczne i zajęło nam dużo czasu. Jak się okazało, krew niektórych osób przełamywała blokadę, podczas gdy innych wywoływała niebezpieczne wyładowania. W końcu jednak udało nam się wyjść na powierzchnię.

Cała zebrana w kazamatach przypadkowa zbieranina zdecydowała ruszyć do pobliskiej wsi Srebrnohora. Każdy chciał jak najprędzej udać się w swoją stronę. Jednakże już kilka kroków od murów zamku natknęliśmy się na parę medyków wiozących ciała. Wytłumaczyli nam oni, iż do wsi nie można się dostać, ze względu na kwarantannę. Jak się okazało, w okolicy szalała potworna zaraza i kilka godzin temu miejscowe władze nakazały objąć wszystkie okoliczne osady ścisłą kwarantanną.

Jedynym miejscem, do którego mogliśmy się udać była wergundzka warownia. Nie podlegała ona bowiem okolicznym prawom. By uniknąć kwarantannych patroli, postanowiliśmy pójść tam ukrytą ścieżką. Ciężka to była droga, jednakże w końcu udało nam się dotrzeć na miejsce. Nim jednak dotarliśmy do murów twierdzy, na rozstaju dróg napadły na nas dziwne stwory. Powszechnie znane są baśnie i legendy o ożywieńcach, zatem niech wystarczy za opis stwierdzenie, iż owe stwory właśnie przypominały takowe istoty. Walka z nimi okazała się na szczęście prosta i bez problemu udało nam się przedrzeć do bramy. A gdy tylko załoga fortalicji dowiedziała się o ataku, od razu pognąła z odsieczą. Przez kilka kolejnych minut panował zupełny zamęt. Uchodźcy z opuszczonego zamku zostali wprowadzeni na dziedziniec fortalicji, podczas gdy stacjonujący tam żołnierze prowadzili zażarty bój z ożywieńcami, osłaniając ich przemarsz. W końcu wszyscy znaleźli się za palisadą warowni. Brama została zamknięta, a sytuacja się uspokoiła. Każdy z nas otrzymał kwaterę na noc. Wyjaśnienia i narady pozostawiliśmy sobie na następny dzień, jako że wszyscy byli już wyczerpani.

I tym oto sposobem cały nasz oddział Imperium trafił pod skrzydła auxillion Ingeboran – krasnoludki dowodzącej XXII Wergundzką Kohortą Kondotierską Burego Tymenu, stacjonującą w warowni Srebrnohora.

Srebrnohora, sześć dni przed Wiecem

Gdy tylko brzask jutrzeńki oświetlił dachy fortalicji, rozpoczęły się narady. Bardzo szybko sytuacja, w której się znaleźliśmy, wyklarowała się;

Większość ludzi, których spotkaliśmy w kazamatach Wielkiego Zamku, okazała się trafić tam za sprawą działania jakiejś potężnej, nieznannej magii. My sami, członkowie oddziału Batiarusa, aby zachować przykrywkę również stwierdziliśmy, iż trafiliśmy tam przypadkiem.

Noc spędziliśmy w warowni wergundzko-teralskiej. Od pewnego czasu oddziały Wergundii z rozkazu księcia Olafa opuszczały te ziemie (wszak na dalekim południu szykowała się wojna ze Styrią i potężna Wergundia nie mogła już dłużej utrzymywać wojsk na terenie podległej Terali). XXII kohorta kondotierska miała udać się na południe w przyszłym tygodniu. Już teraz Terałe przejmowali niektóre obowiązki dowodzenia fortalicją, jednakże wciąż stanowili oni zdecydowaną mniejszość załogi. Większość obecnych w fortalicji Terali służyła, bądź nawet bezpośrednio wywodziła się z rodu Kietliczów, których to włości znajdowały się nieopodal.

Nie byliśmy w stanie opuścić tego miejsca, ze względu na ogłoszoną poprzedniego dnia kwarantannę. Przywieziona zapewne z Pethabanu choroba dziesiątkowała okoliczne wioski... Szybko zrezygnowaliśmy z podjęcia jakiegokolwiek próby odzyskania pozostawionych w pobliskiej wsi koni.

Sami zresztą również zostaliśmy dotknięci zarazą. W ciągu paru godzin od przebudzenia, wśród części osób z fortalicji pojawiły się sine paznokcie – oznaka rozwijającej się choroby. Wywołało to niemałą panikę. Na szczęście uzdrowicielki szybko uspokoiły ludzi i oddzieliły zarażonych (w tym i mnie, niestety) od reszty. Szczęściem w nieszczęściu okazał się być fakt, że również kilku żołnierzy XXII zachorowało. Dzięki temu pani auxillion utraciła pretekst, by wygnać niespodziewanych gości ze swej fortalicji.

Powszechnie wiadomym było, iż niedaleko swoją placówkę rozstawił słynny medyk Witalides – weteran obu Sukursji i wybitny naukowiec. To do niego udaliśmy się, by prosić o pomoc. Naszą przewodniczką została Aine, fortaliczna naczelna medyczka i zarazem była uczennica Witalidesa.

Oszczędzę drastycznych opisów polowego lazaretu Witalidesa. Dość rzec, że mimo krytycznej sytuacji, medykowi udało się sporządzić nam lek zatrzymujący na parę dni chorobę. Dostaliśmy czas na odkrycie antidotum.

Podczas gdy grupa zarażonych zabawiła u Witalidesa, oddział wojskowy w fortalicji otrzymał zadanie od panującego na tych ziemiach kniazia Dragana Karanawica – wygnać kapłanów Widy z ich świątyni. Już od wielu lat książę prowadził ostre represje wobec kapłanów. Było to było swego rodzaju zemstą za upokorzenie, jakiego książę doznał od arcykapłanów dziesięć lat temu, podczas wiecu możliwych. Próbował wówczas zyskać buławę wojewody. Niestety podczas wiecu chramy kapłańskie odmówiły mu poparcia i podburzyły najważniejsze rody przeciw niemu. Od czasu tamtych wydarzeń na kniaziewskich ziemiach obowiązywało surowe prawo, zabraniające składania bogom ofiar.

Oddział wergundów i terali otrzymał od pani auxillion wyraźny rozkaz – nie przelewać krwi w świętym miejscu. Zatem gdy kapłani odmówili dobrowolnego opuszczenia chramu i zaprzestania składania ofiar, żołnierze postanowili odpuścić. Jedyne w pewnym momencie sporu teralski kmicie zwany Trawułem, pragnąc udowodnić irracjonalność oporu kapłanów, skoczył na Święty Ogień, gasząc go własną tuniką. Jakież skandal później to wywołało! Ledwo wojacy powrócili za mury fortalicji, zaczęli się do nich pchać rozwścieczeni chłopci.

A gdy tylko ci poszli, na ich miejsce weszli druidzi. Chłopci żądali głowy Trawuła oraz obietnicy pozostawienia kapłanów w spokoju, podczas gdy druidzi wręcz przeciwnie – pochwalili Trawuła oraz zażądali bardziej zdecydowanych działań. Należy tu wyjaśnić, iż koweny druidzkie, wyznające kult Matki Natury, aktywnie wspierały kniazia w „zwalczaniu obcych, napływowych religii”. My sami zaś,

jako agenci Imperium, gorąco popieraliśmy zarówno druidzkie, jak i kniaziowskie inicjatywy w tej kwestii.

Dragan zażądał, by fortalicja bezpośrednio odpowiedziała przed nim za niewykonany rozkaz. Sytuacja była niezwykle napięta i delikatna. Pani komendantka zdecydowała więc podzielić swych ludzi na dwie grupy – pierwsza miała oczyścić drogę do kniazia, podczas gdy druga naprawić niedopatrzenie z poprzedniej misji.

Ja sam trafiłem do oddziału idącego do chramu. Gdy dotarliśmy na miejsce, okazało się, że przy ołtarzu pozostał już tylko jeden żerca – sam arcykapłan widy. Widać pozostali poszli po rozum do głowy i przed ponownym przybyciem żołnierzy, dobrowolnie opuścili Teralę. Arcykapłan jednak otoczył się wieloma magicznymi barierami, tak że dostanie się do niego wymagało od nas nie lada wysiłku. W końcu jednak, dzięki zaczarowanym strzałom pewnej Samnijki służącej w XXII, udało nam się przełamać kapłańskie zaklęcia. Zakneblowano go, skuto i wyprowadzono. Na szczęście dla nas, żadna kropelka krwi nie została rozlana.

W drodze do kniazia zastaliśmy drugi oddział. Jak się okazało, został on w międzyczasie napadnięty i ograbiony przez bandę dezertersów. Posiłki powracające z chramu zostały więc przywitane wręcz owacyjnie. Po połączeniu sił byliśmy w stanie przeprowadzić kontratak, by po długiej i zaciętej bitwie odzyskać złupiony sprzęt.

Tak wielka ilość tak dobrze uzbrojonych banitów wzbudziła niepokój pani komendant. Dlatego też zdecydowano, iż w ślad za uciekającymi niedobitkami zostanie wysłana część naszej grupy. Reszta, wraz z cudem obronionym jeńcem, ruszyła do kniazia.

Dragana zastaliśmy na polowaniu. Zgodnie z przewidywaniami, nie był on dla nas zbyt przychylnie nastawiony. Pani komendant otrzymała srogą reprymendę, między innymi za to, że zamiast wygnać, pojмалиśmy arcykapłana. Cóż... kniaziewi trza przyznać tu rację: po cóż mu był kolejny człowiek w lochu?

Jako że Dragan okazał się być wielce towarzyskim człowiekiem, zaprosił nas na polowanie (przyznać muszę, iż nie widzę, co moi w tym widzą – kretyńskie ganiecie za zwierzyną nie bawiło mnie ani trochę). W trakcie błądzenia po lasach mieliśmy okazję wysłuchać kilku mądrych wywodów na temat bieżącej polityki.

Kniaź był zdesperowany otrzymać buławę teralskiego wojewody – bez niej kraj pozostałby podzielony. A żaden ród Terali nie miał mocy, by oprzeć się w pojedynkę samniskim hordom, ustawicznie najeżdżającym te ziemie od dobrych paru lat.

Na drodze do buławy stali kniaziewi przede wszystkim arcykapłani. Trzy teralskie chramy zdecydowanie sprzeciwiały się ambicjom Dragana, obawiając się utraty wpływów. W rękach arcykapłanów znajdowała się ponadto większość najważniejszych rodów Terali. Strasznie boskim gniewem było skutecznym narzędziem manipulatorskim.

Tak więc Dragan miał przed sobą niezwykle ciężkie zadanie. Naciągający wiec był ostatnią szansą na zdobycie przezeń buławy. Od paru lat cierpliwie zabiegał o poparcie możnych rodów, krok po kroku budując swoje szanse na zjednoczenie Terali.

W pewnym momencie uwagę kniaziewa przykuło beczenie. Jak się później okazało, oblawa na czele której ruszył Dragan, goniła za faunem. Leśnej istocie udało się jednak łatwo zbiec.

A to za sprawą zamachu.

Gdy w pewnym momencie książę oddalił się od reszty gości, by oddać strzał w stronę zwierza, ktoś dokonał nań zamachu. Byłem jedną z pierwszych osób, które dobiegły na miejsce zdarzenia.

Zastałem księcia leżącego na konarze, ze strzałą wbitą w bok. Tuż obok niego dwóch wojów

z jego gwardii trzymało obezwładnioną Sławoję – kuzynkę Samboi, ważnej księżniczki spod znaku Bobrowic, która to wiele lat temu miała zaślubić Dragana (a do mariażu nie doszło ze względu na ich odmienne zdania w kwestii kapłanów i tradycji). Dziewczyna była przerażona i zdezorientowana. W rękę trzymała kurczowo sztylet. Klinga była czysta.

Przybocznicy Dragana szybko wytłumaczyli zgromadzonym co zaszło: podczas gdy Dragan mierzył do fauny z łuku, Sławoja zaczęła zakradać się doń z dobytym sztyletem. Nie zadała jednakże ciosu, gdyż ubiegła ją strzała, która wyleciała zza krzaków. Po obezwładnieniu przy niedoszłej zabójczyni znaleziono też list, w którym to chępiła się zabójstwem księcia.

Przeszukaliśmy teren, jednakże nie znaleźliśmy nikogo w okolicy, kto mógłby oddać ów strzał. Sam zaś pocisk na szczęście okazał się niegroźny. Zbroja uchroniła Dragana przed śmiercią.

On sam zachował zimną krew. Nie dawszy się ponieść emocjom, nakazał swoim podwładnym spętać Sławoję i wysłać ją do swojego zaufanego palatyna – Mojmira. Był to zarządca leżącego nieopodal zamku Pohryń. Tam właśnie postanowiono zamknąć Sławoję, aż do czasu wyjaśnienia sprawy.

Choć książę przeżył, nikt już nie miał ochoty na dalsze polowania. Powróciliśmy do obozowiska.

Na miejscu zastaliśmy oddział, który pognał w ślad za niedobitkami dezerterskimi. Jak się okazało, dotarli oni do obozowiska, w którym banicy przetrzymywali zniewoloną driadę. Gdy tylko ta po krótkiej walce została uwolniona, podziękowała i obiecała pomoc w przyszłości, po czym zniknęła wśród liści. Zostawiła również ostrzeżenie, z którego wynikało, iż w okolicy grasuje więcej, o wiele lepiej zorganizowanych band renegeatów.

Podczas gdy obie grupy opisywały sobie nawzajem wydarzenia ostatnich chwil, Dragan został odciągnięty na bok przez parę wojowników.

To Batiarus i Leclerc – dwaj czołowi agenci Imperium – przedstawili się księciu i oznajmili mu, iż może liczyć na naszą pomoc i wsparcie w swej walce z kapłanami oraz w czasie nadciągającego wiecu. Jako symbol dobrej woli wręczyli mu oni Serce Lasu – drogocenny kryształ, będący potężnym artefaktem pozwalającym kontrolować zwierzęta zamieszkujące Las Michałowicki leżący na zachodnich rubieżach Terali.

Ponadto inny nasz agent, zwany Tellem, przedstawił mu pomysł „zabawy w stonki”. Pod tym hasłem kryło się szerzenie negatywnej propagandy wobec kapłanów: agenci Imperium mieli w przebraniu żerców Widy, Skogura i Sylwy ograbiać okoliczne wsie i dopuszczać się wielu kompromitujących przestępstw. Dragan przystał na ten pomysł, lecz „Zabawą w stonki” zajęły się ostatecznie inne oddziały Imperium. Nasz pozostał wtyczką w fortalicji.

Gdy tylko Sławoja została wsadzona do powozu, cała grupa powróciła do Srebrnohory. Narada, którą przeprowadziliśmy, przyniosła dość oczywiste wnioski;

Dopóki Witalides nie odnajdzie leku na epidemię, postanowiliśmy pozostać w fortalicji, i pomagać Wergundom oraz Teralom jak tylko się dało. Co się zaś tyczyło zamachu na Dragana – wszyscy

zgodnie stwierdzili, iż Sławoja musiała działać pod wpływem uroku. Jej zachowanie w żadnym stopniu nie pasowało do zachowania morderczyni, zaś dowody jakie przy niej znaleziono, były tak oczywiste, że aż sztuczne...

Wieczór zapowiadał się już spokojny. Fortalicja wykorzystywała płynący nieopodal strumyk jako miejsce kąpielisk. Sam przed snem udałem się tam, by oczyścić się po trudach całego dnia. Niestety, nie dane mi było wymyć się w spokoju. Gdy tylko wyszedłem z lodowatej wody, z centrum fortalicji dobiegły mnie odgłosy walki!

Zostałem całkowicie zaskoczony. Cały mój sprzęt do walki pozostał w namiocie! Unikając walki udało mi się zakraść w pobliże placyku, by zobaczyć o co chodzi.

Jak się okazało, fort napadł oddział grasantów. Zgodnie z ostrzeżeniami driady – byli oni o wiele lepiej zorganizowani i uzbrojeni. Wdarli się na mury za pomocą lin, po czym szybko uporali się z wartującymi wojownikami.

Razem z hobbitką Prim oraz szamanką Tuuli udało nam się pod osłoną nocy przemknąć do namiotów. Tam zaalarmowana część fortalicji gotowała się już do odbicia centralnego placyku. Kontratak przeprowadzony został błyskawicznie i bezwzględnie. Napastnicy szybko zostali wyparci za mur.

Atak ten, o mały włos nie zakończywszy się rzezią załogi fortu, wielce zaniepokoił panią auxillion. Nakazała ona inżynierowi Dagobertowi uruchomienie specjalnej magicznej bariery, która chroniłaby obóz przed tego typu atakami. Urządzenie temu służące stało na dziedzińcu fortalicji od dawien dawna, jednakże odkąd ktokolwiek sięgał pamięcią, pozostawało nieczynne. Ponoć kilka lat temu nawaliły w niej jakieś trybiki i sprężynki – jak to zwykle w gnomich urządzeniach...

Po ataku warty zostały podwojone. Nic więc dziwnego, że gdy parę godzin później do bram zapukał wędrowny bajarz, spotkał się ze wszechobecną paniką.

Dziebor – bo tak zwał się ów bajarz – okazał się być starym dobrym znajomym auxillion Ingeboran. Ich znajomość sięgała czasów Sukursji, kiedy to oboje wędrowali przez pustynie, by pomóc naszym uciskanym braciom z Pethabanu. Opowiedział nam on kilka baśni, między innymi o księżniczce, co to spała na ziarnku grochu. Gdy zaś zakończył opowieść, jak to bajarz, opuścił fortalicję i udał się w swoją stronę...

Później, w krótko przed świtem, mieliśmy jeszcze jednych nieproszonych gości. W pewnym momencie całą fortalicję obudziły odgłosy walki... Między namiotami zaroilo się od ożywieńców!

Sam niewiele zdołałem zrobić – ledwo uchyliłem połę, zostałem zdzielony pałą w potylicę tak mocno, że obudziłem się po kilku minutach. Gdy odzyskałem przytomność, okazało się, iż namiocie pozostałem jedynie ja i pewien teral służący wśród Wergundów, zwany Sanderem Maletem (z tych Maletów – jak zwykł powtarzać).

Długo zajęło nam opuszczanie namiotu – ilekroć któryś z nas uchylił rąbek poły, rozlegał się upiorny syk, który skutecznie zniechęcał nas do wychodzenia. W końcu jednak dzięki wielkiemu samozaparciu i zwiadowczym umiejętnościom Sanderu udało nam się przemknąć do oświetlonego ogniskiem placyku. Sytuacja nie wyglądała ciekawie. Atakujące nas stwory były nieludzko silne! Na szczęście szybko odkryliśmy ich słaby punkt: z jakiegoś powodu panicznie bały się ognia. Gdy tylko to odkryliśmy, walka była już dla nas wygrana.

Choć po przegnaniu zombie prawie wszyscy poszli spać, w obozie już nikt nie czuł się bezpiecznie. Dagobert przez resztę nocy pracował nad uruchomieniem Bariery, zaś wartownicy siedzieli niczym na szpilkach...

Srebrnohora, pięć dni przed Wiecem

Rano Dagobertowi w końcu udało się uruchomić Barierę. Było to dość skomplikowane urządzenie, opierające się na okrągłym kryształce będącym rezerwuarem magii powietrza. Gdy był uruchomiony, wykorzystywał on energię pobieraną z głębin ziemi, by tworzyć wokół fortalicji potężną, magiczną Barierę. Każda próba przejścia przez nią wywoływała potężne wyładowanie czystej energii magicznej. Jedyną lukę, przez którą dało się przejść bez obrażeń stanowiła brama do fortalicji.

Krótko po pobudce doszło do dziwnej sytuacji: wszystkie kobiety w obozie obudziły się niesamowicie niewyspane, z licznymi bólami i odrętwieniami. Później, gdy oficer sanitarny Horacy sprawdzał porządki w namiotach (również wśród cywili) odkryto, iż pod każdą kobietą pryczą ukryte było ziarno grochu... Zupełnie jak w opowiadaniu Dziebora! Wówczas nikt nie przywiązał do tego faktu większej wagi, uznając to za żart któregoś z żołnierzy. Dopiero później wyszło na jaw, skąd owe ziarnka grochu się wzięły...

Nocne ataki przysporzyły fortalicji dwóch problemów: po pierwsze – renegeci. Byli oni o wiele lepiej zorganizowani i uzbrojeni, niż przypuszczaliśmy. Problem należało zdusić w zarodku, tak szybko, jak tylko było to możliwe. Bariera barierą, ale garnizon fortalicji miał też na uwadze dobro okolicznych wsi... a nawet i zamków!

Drugim problemem były ożywieńce. Nikt nie miał pojęcia, skąd te stwory się tu wzięły. W pobliżu nie mieszkał żaden potężny czarnoksiężnik. Owszem, w wyniku zarazy trupów było sporo, więc być może w której wsi pojawił się jakiś domorosły nekromanta... sęk w tym, że istoty które zaatakowały nas w nocy były nad wyraz silne. O wiele potężniejsze od jakiegokolwiek żywego człowieka (o martwym już nie mówiąc)!

Podzieliliśmy się na dwa zespoły. Pierwszy, skupiający w sobie magów, druidkę, szamankę, oraz innych intelektualistów, zajął się sprawą zombie. Drugi zaś ruszył na zwiad po okolicznych lasach, by wytropić naszych wczorajszych gości...

Pierwsza drużyna ruszyła tropem ożywieńców wzdłuż traktu idącego od bramy. Początkowo nie narzekaliśmy na brak tropów. Ożywieńce – zarówno te legendarne, i te z którymi mieliśmy do czynienia – miały zwyczaj rozpadać się przy każdym ruchu. Dlatego też co jakiś czas natrafialiśmy na jakąś plamę krwi, rozkładający się fragment ciała, czy coś równie obrzydliwego.

Jednakże w pewnym momencie trop się urwał. Wówczas to druidka Prim odprawiła rytuał, pytając Matkę Naturę o ślady ożywieńców. W wyniku rytuału cała grupa doświadczyła wizji: z mgły wyłonił się grobowiec. Leżał on w środku lasu. Z mogiły przykrytej liśćmi wystawała dłoń. Ruszała się nieznacznie.

Wizja, choć mroząca krew w żyłach, nie przyniosła nam wiele. Wszak już wcześniej domyśliliśmy się, iż owe istoty powstały z grobów. Niewyjaśnione pozostawało: jak, gdzie i kiedy?

Druga grupa odniosła znacznie większy sukces. Przeczesując pobliskie lasy wzdłuż i wszerz udało im się odnaleźć niewielką grupkę banitów. Po krótkiej walce pojмали oni jeńca, który w wyniku krótkiego, acz brutalnego przesłuchania wyjawiał lokalizację głównej bazy renegatów.

Atak na nią zaplanowaliśmy na popołudnie.

Jako że obozowisko herszta renegatów było potężnie ufortyfikowane, w ataku musieli pomagać również i cywile. Podzieliliśmy się na kilka małych grup, które otoczyły przeciwnika. Przystąpiliśmy do szturm w momencie, gdy ładunki podłożone przez Hazima – Pethabańczyka towarzyszącego nam w fortalicji – wysadziły najsłabszy punkt wrogich umocnień.

Walka była długa i zażarta. Renegaci bronili się dzielnie, a ich uzbrojenie i wyszkolenie

w niczym nie ustępowało naszemu. W końcu jednak udało nam się wywalczyć zwycięstwo. Niestety, herszt bandy uciekł przed nami na drzewo. I zanim go dorwaliśmy, ów zdołał popełnić samobójstwo, zażywając jakiejś trucizny.

Nie musieliśmy się na szczęście przejmować zbiegami z pola bitwy. Ci którym udało się przedrzeć nasz kordon zostali później znalezieni wśród krzaków, cali naszpikowani strzałami. W ten oto sposób leśne driady odwdzińczyły się nam za uwolnienie jednej z ich siostr.

Tak więc pokonaliśmy grasujący w okolicy oddział dezertów. Jak się później okazało, była to jedna z wergundzkich kompanii kondotierskich, która korzystając z zamieszania związanego z wycofaniem wojsk Olafa na południe, postanowiła zrzucić wszelkie zwierzchności. Można powiedzieć, że XXII walczyła z jednym ze swoich braci...

Powróciliśmy do fortalicji w dobrych nastrojach – wykonaliśmy misję, zapewniliśmy bezpieczeństwo okolicznym wsiom. Owszem, wciąż wielu z nas pozostawało zarażonych tajemniczą chorobą, owszem, wciąż niewyjaśniona pozostawała sprawa ożywieńców... Ale jednak czuliśmy się o wiele bezpieczniej.

W drodze powrotnej zastaliśmy niecodzienny widok – idąc przez łąkę natknęliśmy na egzotycznie wyglądający namiot. Jak się okazało, należał on do pethabańskiego maharadży, który to przybył w te strony, odwiedzić dawnych przyjaciół z Sukursji. Planował też zapolować na lokalne zwierzęta, by umieścić je w swoim ogrodzie zoologicznym (szczególnie interesowały go muflony). Na jego świętę składały się jedynie dwie osoby: jego żona, oraz ognisty ifryt – potężna istota, zdolna spopielić wszystko i wszystkich wokół jednym zaklęciem. Do dziś mój szczerzy podziw budzi magia Pethabanu, która pozwala mahom ujarzmić takie istoty...

Późnym wieczorem kompania wergundzka otrzymała meldunek o tajemniczych gusłach, odprowadzanych w pobliskim lesie. Jako że było to potencjalne zagrożenie dla porządku w okolicy, Ingeboran nakazała wyruszyć tam w celu kontroli.

Sam jako cywil pozostałem w fortalicji. Podczas gdy nasi wojowie ganiłi za gusłami, fortalicję odwiedził myśliwy podający się za Wojmira. A jako że imię to brzmi podobnie do Mojmira, wszyscy wzięli go za kniaziewskiego palatyna. Cóż... „niejednemu psu Burek na imię” – jak mawia Leclerc.

Gdy po paru godzinach wyprawa powróciła, miałem wraz z resztą cywili niemało roboty – wszyscy zataczali się i zachowywali jakby powrócili z nieliczej biesiady. Długo zajęło nam opanowanie harmideru. Zaś przez całą noc to my, cywile, musieliśmy utrzymywać wartę, gdyż właściwy oddział nie był w stanie!

Srebrnohora, cztery dni przed Wiecem

Rano w końcu udało nam się wydobyć od skacowanych żołnierzy, co zaszło poprzedniego dnia na polance.

XXII kompania wlaźła w sam środek święta leśnych istot, któremu przewodziła... Samboja. Potężna kniahini z Bobrowiców powszechnie znana była ze swoich czarnoksięsko-druidzkich praktyk. A przybyła w to miejsce już w ramach zbliżającego się wiecu teralskich wodzów, który to miał się odbyć za cztery dni. Warto dodać, iż była wówczas brzemienna... niestety ojciec dziecka kilka miesięcy wcześniej zmarł.

W swoich leśnych gusłach Samboja nałożyła klątwę na kniazia Dragana. Powodem miało być rzekome zabójstwo Sławoi.

Wieść o tym wielce nas zaskoczyła. Wszyscy byliśmy wszak przekonani, że Sławoja żyje! Owszem, zamachnęła się ona dwa dni wcześniej na Dragana, jednakże książ nakazał zamknąć ją w celi i przeprowadzić pełne śledztwo! Nawet jeśli można było zakwestionować jego słowność, o tyle zabijanie kuzynki niedoszłej narzeczonej z pewnością doprowadziłoby do wojny między hradami, a co za tym idzie – pogrzebałoby jakiegokolwiek szanse kniazia na zdobycie buławy wojewody!

Nikt z nas nie chciał uwierzyć w zabójstwo Sławoi. Wszyscy byli pewni, że jakaś trzecia siła dąży do zwaśnienia rodów tuż przed wiecem.

Jedyną osobą, która mogła rzucić światło na tę intrygę był Sulibor – zagrodowy (tj. nieposiadający ziemi) książ, który akurat przebywał w okolicach. Był on bliskim przyjacielem palatyna Mojmira, a co za tym idzie: osobą na co dzień stykającą się tak z nim, jak i z kniazem Draganiem. Jako że chwilowo Mojmir pozostawał nieobecny, na jakiejś wyprawie daleko na zachód, Sulibor pozostawał jedyną osobą zdolną upewnić nas w tym, jaka jest rzeczywista postawa Dragana.

Dlatego też po śniadaniu podzieliliśmy się na dwie grupy: pierwsza wybrała się do Sulibora, zaś druga do Witalidesa, dowiedzieć się jak postępują prace nad lekarstwem.

U Witalidesa niewiele się zmieniło. Nadal wszędzie wokół pełno było chorych i umierających ludzi. Sam Witalides zdawał się jednak być w znacznie lepszym humorze. Wpadł już na trop lekarstwa. Potrzebował pewnego składnika, który pomógłby mu kontynuować badania – specjalnej odmiany jagód zwanych glasier glasieris, rosnących tylko na jednej (na szczęście położonej stosunkowo niedaleko) polance...

Uśmiech na twarzy medyka zbladł jednak, gdy zapytaliśmy go o ożywieńców. W dość ostrych słowach oznajmił, iż nie ma bladego pojęcia, skąd owe żywe trupy mogły się wziąć. Jego humor uległ jeszcze większemu pogorszeniu, gdy nasze medyczki pokazały mu jakiś dziwny dokument, który rzekomo znalazły kilka dni wcześniej w jednym ze szpitali. Ów dokument opisywał epidemię, która miała miejsce swego czasu w oddziałach Mojmira.

Wedle jego treści, zaraz po powrocie z Sukursji wśród ludzi Mojmira rozpełtała się epidemia, w wyniku której wszyscy jak jeden mąż poginęli. Dziwnym był fakt, iż owa choroba nie dotknęła samego Mojmira, ani nikogo z kim jego wojowie mieli styczność. Witalides na wieść o niej zareagował nad wyraz opryskliwie...

Pomimo kilku dziwnych sytuacji w trakcie rozmowy, rozstaliśmy się z Witalidesem w dobrych nastrojach. Powróciliśmy do fortalicji z prostym planem: popołudniu wybrać się, zdobyć owe jagódki dla Witalidesa.

Wyprawa drugiej grupy okazała się być o wiele bardziej dramatyczna. Sulibor przebywał na polowaniu. Dość szybko wyprawie z fortalicji udało się odnaleźć jego ambonkę, a w niej rzezonego kniazia... a właściwie jego ciało. Sulibor został zamordowany. Co prawda morderca starał się upozorować zbrodnię na samobójstwo, jednakże nasi ludzie nie dali się zwieść: po cóż leworęczny szermierz miałby sobie podcinać żyły w lewej ręce!?

Oględziny miejsca zbrodni pozwoliły odnaleźć jego zapiski – pospiesznie napisane listy, będące najwyraźniej czymś w rodzaju ostatniej woli. Odczytane zostały one już w fortalicji. Ich przesłanie było co najmniej zagadkowe: „Z całej czwórki, która powróciła z Pethabanu, to Mojmir kontynuował eksperymenty, przy pomocy tego udawanego pethabańskiego maha Amira. Reszta się wycofała, lecz pozostawała szantażowana”...

Przeczytanie listu wprowadziło nas wszystkich w osłupienie. O jaki znowu proszek chodzi!? Jaki mah? Jeszcze jeden fragment, na samym końcu, wzbudził nasz niepokój: „...obecnie wśród wojów Mojmira przewarżają (...) istoty o bladych twarzach i nadludzkich możliwościach”.

Jedyny wniosek jaki udało się nam wyciągnąć był taki, że palatyn Mojmir knuje coś niedobrego. Coś związanego z pethabańską magią... A jego oddanie wobec kniazia Dragana jest co najmniej wątpliwe. Być może to on stał za rzekomym morderstwem Sławoi?

Mimo poważnych podejrzeń wobec Mojmira, postanowiliśmy na razie nie podejmować żadnych konkretnych działań. Mieliśmy większy problem na głowie: lekarstwa spowalniające rozwój choroby, otrzymane od Witalidesa, zaczynały słabnąć. Wyleczenie zarazy w fortalicji było więc naszym priorytetem.

Po posiłku ponownie sformowaliśmy dwa oddziały: pierwszy, składający się niemal wyłącznie z intelektualistów, poszedł zbierać jagódki. Drugi zaś ruszył za nowym wezwaniem – kilka okolicznych wiosek zostało napadniętych przez bandy orków.

Polana z jagódkami okazała się być tą samą, na której poprzedniego wieczora Samboja odprawiała swoje gusła. Na miejscu zastaliśmy lekko skacowanego fauna, grającego na fujarce. Na pytanie o jagódki oznajmił nam on, iż posiada przy sobie ostatnie kilka sztuk. Resztę zjadł w ramach „walki ze stereotypem według którego fauny jedzą wyłącznie trawę”.

Na nic zdały się uprzejme prośby i namowy. Faun okazał się być nieprawdopodobnie upierdliwą istotą. W pewnym momencie zaczął nas nawet obrzucać swoimi bobkami!!!

W końcu, po kilku minutach negocjacji, nasze nerwy nie wytrzymały. Rzuciliśmy się na diaboła (jak Terale zwykli nazywać fauny). Ów wymknął się nam i zaczął uciekać. Przez niemal pół godziny goniliśmy go po całym lesie! Zapewne uciekłby nam, gdyby nie napotkana w pewnym momencie pościgu leśna boginka. Na jej widok faun momentalnie zatrzymał się i upadł na kolana (czy jak tam nazywa się ich kozi odpowiednik...).

Na szczęście dla nas boginka okazała się być już o wiele bardziej wyrozumiałą istotą. Nakazała faunowi oddać ostatnie egzemplarze jagód (co uczynił bardzo niechętnie, do samego końca strojąc sobie z nas żarty) oraz udzieliła nam kilku istotnych informacji:

Oznajmiła, iż Sławoja rzeczywiście nie żyje, a Samboja rzuciła klątwę na Dragana, obwiniając go za jej śmierć. Tymczasem ani Bobrowice, ani żadne leśne istoty nie stoją za zamachem na kniazia. Ożywieńce również nie mają nic wspólnego z miejscowymi lasami. Obie rzeczy są dziełem ludzkim...

Podczas gdy my, intelektualiści, ganialiśmy za obrzucającym nas głównym faunem, oddział wojowników z fortalicji wytropił grasującą po okolicy bandę orków. Po krótkiej walce udało się nawiązać dialog z przewodzącą orkami szamanką. Orkowie ze względu na patrole oraz magiczne bariery nie byli w stanie opuścić terenów objętych kwarantanną, więc głodowali.

W zamian za zaprzestanie ataków na okoliczne wsie, zażądali żywności, jak również udostępnienia im ich pradawnej świątyni, która to znajdowała się na szczycie góry Pohryń.

Dość niefortunnie nasi ludzie przystali na oba żądania. Dopiero później zdali sobie sprawę z tego co obiecali – na szczycie świętej dla orków góry Pohryń stał przecież obecnie zamek palatyna Mojmira!

Pozostało nam tylko mieć nadzieję, że orkowie zadowolą się pierwszym punktem umowy – dostawą żywności. Planowaliśmy zakupić zapasy na jutrzejszym targowisku, który to ze względu na kwarantannę został przeniesiony ze Srebrnohory do samej fortalicji.

Wieczór postanowiliśmy poświęcić na gromadzenie wszelkiego rodzaju wartościowych rzeczy tak, by zakupione zapasy żywności zadowolily orków. Jednakże nie dane nam było zaznać spokoju. Tuż przed zmrokiem do bramy zaczęła dobijać się zrozpaczona wieśniaczka. Przedstawiła się jako Gerda. Poprosiła nas o pomoc, gdyż jej braciszek Kai zaczął nagle wariować. A co gorsza – zaczął również przejawiać dziwne zdolności magiczne. Jako czarodziej ruszyłem zaciekawiony, zobaczyć o co chodzi.

Na skrzyżowaniu traktów przed fortalicją biegał sobie młody chłopak. Cały czas powtarzał, że poszukuje jakiejś „królowej”, a każdy przedmiot który dotknął momentalnie zamarzał. Sam nieopatrznie dałem się mu dotknąć... Na szczęście nasze uzdrowicielki szybko mnie ogrzały.

Nie udało nam się złapać chłopca. Jego magia była za dziwna. Przeczyła prawom logiki! Natomiast żadne nasze zaklęcie nań nie działało. Wymknął nam się.

Nikt nie był w stanie wytłumaczyć tego dziwnego zjawiska. Wieczór znów upłynął nam więc na snuciu domysłów i planowaniu następnego dnia. Tuż po zachodzie słońca Samnijczycy służący w naszej kompani zaczęli odprawiać jakieś swoje modły, rzekomo by samnijskie duchy „wskazały nam drogę postępowania”.

Nie wszystkim jednak udzielił się ponury nastrój. Teral Sanders – ten sam z którym mieszkałem w namiocie, wraz z hobbitkim zielarzem Kennym odkryli w miejscowym magazynku zapas alkoholi. Nie minęło dużo czasu, gdy zaczęli w pijackim rauszu biegać po fortalicji. Nie pomogły nawet wywary trzeźwiące naszego alchemika Reshiego.

W pewnym momencie pijany hobbit wpadł w krąg modlących się samnijczyków, przerywając ich rytuał. Wywołało to raban, na który zbiegli się śpiący w okolicznych namiotach Terales. Oczom Trawułta (który od czasu afery z gaszeniem Wiecznego Ognia został nieformalnym przywódcą teralskich kmieci) nie umknęła kartka, którą Samnijczycy spróbowali spalić, gdy tylko zaczął się zbiegać tłum. Mając już praktyczne doświadczenie w gaszeniu świętych ogni, wskoczył on do kręgu, wyrwał im płonąca kartkę z rąk i uciekł, by przeczytać jej treść na osobności.

Okazało się, iż rytuał odprawiany przez samnijczyków był tak naprawdę szamańskim zaklęciem, mającym na celu wysłanie tej kartki poza Barierę i kwarantannę, prosto do dowództwa wojsk samnijskich. Samnijczycy, którzy rzekomo zaciągnęli się do kompani auxillion Ingeboran jako najemnicy, okazali się być wrogimi szpiegami!

W nocy nastąpiło aresztowanie wszystkich samnijczyków służących w XXII kompanii.

Srebrnohora, trzy dni przed Wiecem

Przesłuchania samnijczyków rozpoczęły się o poranku. Szybko wyszło na jaw, iż wszyscy co do jednego spiskowali na rzecz Kagnatu Samnijskiego. Pani auxillion miała jednak (na szczęście dla nich) miękkie serce. Przez wzgląd na fakt iż dotychczas dzielnie walczyli razem z nami ramię w ramię, skazała ich jedynie na wygnanie z fortalicji oraz pozbawienie broni.

Jeszcze nieraz miękkie serce pani auxillion okaże się zgubne dla XXII...

Szybko zapomnieliśmy o tym przykrym incydencie – wszak rozpoczynało się targowisko! Było rzecz jasna mniejsze niż w poprzednich latach ze względu na kwarantannę, jednakże fortalicja jako miejsce handlu spisała się znakomicie.

Odwiedziły nas dziesiątki okolicznych kupców! Każdy mógł kupić coś dla siebie! Na dziedzińcu odbyła się zaś seria turniejów. Sam wziąłem udział w pojedynkach szermierczych i dotarłem do ćwierćfinału! Zwyciężył zaś Teral Przeclaw.

Podczas targów Batiarusowi udało się nawiązać kontakt z agentem innej działającej w okolicy komórki Imperium. Od tego czasu zaczęliśmy regularnie meldować Castorom nasze poczynania... Poza tym udało nam się tak zmanipulować przybyłego na targowisko miejscowego kronikarza, by wydarzenia ostatnich dni zapisał po naszej myśli.

Targowisko odwiedził też i Witalides, któremu przekazaliśmy zdobyte od fauna jagody, oraz książę Dragan, który na wieść o problemie z orkami zgodził się podpisać przywilej umożliwiający im polowanie w okolicznych lasach do czasu zakończenia kwarantanny. Natomiast komenda fortalicji zakupiła zapas żywności, który powinien starczyć orkom na co najmniej tydzień.

Zaraz po zakończeniu targów udaliśmy się do nich, przekazać zakupioną żywność oraz przywilej od Dragana. Te początkowo nie rozpoznały nas, więc doszło do niemałej walki. Gdy jednak przez tłum przepchała się szamanka, rozpoznała naszych ludzi. Udało nam się nawiązać dialog.

Orkowie przyjęli podarunki, jednakże nie chcieli odpuścić feralnej obietnicy związanej z oddaniem im twierdzy Pohryń. Pakt mógł zostać zmieniony jedynie przez herszta bandy.

A by się doń dostać, należało przejść serię prób siły...

W szranki z orkami stanął kolejno teral Gniewomir, ofirczyk Batiarus oraz szamanka Tuuli. Cóż to były za starcia! Zwłaszcza pierwsze było prawdziwym pokazem kunsztu szermierczego! Ostatnią próbę przeszedł teral Sanders – wypił z wodzem orków kielich ichniego alkoholu. Podołał. I nawet potem trzymał pion!

Gdy już przeszliśmy wszystkie potyczki, mogliśmy przenegocjować warunki umowy z hersztem. Jak się okazało, za feralną obietnicą stał kapłan Skogura zwany Ursynem. Po długich przeprosinach,

obietnicach i kłótniach ze złotowłosym przydupasem wodza, ostatecznie udało nam się wyprosić orków, by odpuścili nam kwestię świątyni. Zamiast tego obiecaliśmy doprowadzić do zakończenia kwarantanny w przeciągu kilku dni.

Na pożegnanie szamanka orków odprawiła dla chętnych rytuał, który miał nam nadać „niedźwiedzią siłę”. Przyznam, że uczestniczenie w orczym rytuale było niezwykle doświadczeniem. Przez parę kolejnych dni stałem się uzależniony od miodu (pod każdą postacią) i nad wyraz przytulaśny...

Podczas gdy większość załogi fortalicji zabawiła u orków, ta część która pozostała w warowni, postanowiła ruszyć na zwiad po okolicy – jedna z map znalezionych dwa dni wcześniej przy ciele herszta banitów wskazywała miejsce ukrycia ich łupów.

Wyprawa zakończyła się powodzeniem. Na miejscu znaleziono kosztowności, które z nawiązką uzupełniły zaległe żoły oraz fundusze przeznaczone na żywność dla orków. Poza złotem i klejnotami, w miejscu ukrycia łupów odnaleziono również dziwny, skrzętnie zabezpieczony flakonik. Lektura znalezionej przy nim pergaminu wyjawiała, iż jest to strzygownica. Żaden z naszych alchemików nie był w stanie wyjaśnić, dlaczego ta stosunkowo powszechna na świecie (lecz akurat nie w okolicy) mikstura została uznana przez renegatów za cenniejszą od wszystkich zgromadzonych kosztowności...

Tak więc załatwiliśmy kwestie bieżące. Mogliśmy wreszcie zaznać chwili wytchnienia... I zaplanować kolejny ruch!

Podejrzenia wokół dragańskiego palatyna Mojmira urosły już w takim stopniu, że zdecydowaliśmy się przeprowadzić zwiad do jego twierdzy. Pierwszy oddział szpiegów który tam wysłaliśmy powrócił z wieścią, iż wbrew zapewnieniom Samboi oraz boginki polany, wojowie Mojmira przetrzymują w kazamatach na stoku Pohrynia jakiegoś „ważnego więźnia” – zapewne rzekomo martwą Sławoję. Sam zaś Mojmir powrócić miał na Pohryń dopiero za cztery dni.

Jedynym sposobem, by z absolutną pewnością określić stan i lokalizację Sławoi, oraz zamiary palatyna, było przeprowadzić desant w pohryńskich lochach. Do tego zadania wyznaczono dziesięcioosobowy oddział lekkobrojných. Wyruszyli oni do zamku wraz z obstawą tuż po zmroku.

Długo czekałem na jakiegokolwiek wieści. A te, gdy w końcu nadeszły, nie były radosne: desant został pojmany zaraz po dostaniu się do lochów. Nie byli w stanie nawiązać walki z napastnikami, gdyż nie wzięli ze sobą żadnej broni!

Do dziś niewyjaśnione pozostało, jakim cudem w całym dziesięcioosobowym oddziale znalazł się tylko jeden topór i dwa sztylety! Ktokolwiek przeprowadził ten sabotaż, pozostał niewykryty...

Konieczna była natychmiastowa odsiecz. Błyskawicznie zorganizowaliśmy dwa oddziały: jeden tworzący dywersję i drugi mający zakraść się od tyłu, by uwolnić nieszczęsnych desantowców. Sam trafiłem do oddziału dywersyjnego.

Szturm na Pohryń był niezwykle ciężki. Wojowie Mojmira rzeczywiście okazali się być „istotami o bladych twarzach i nadludzkich możliwościach”. Przypominali nieco ożywieńce, z którymi mieliśmy niegdyś okazję się spotkać. Jednakże w przeciwieństwie do nich, ci byli już zdecydowanie rożumni, uzbrojeni i zorganizowani. Nawet mimo doskonałej taktyki oraz absolutnego zaskoczenia przeciwnika, mieliśmy wielkie problemy z pokonaniem wroga!

Udało nam się wdrzeć na mur i wywalczyć sobie przyczółek, jednakże później linia frontu na wiele ciężkich minut zamarła. I zostalibyśmy odparci, gdyby nie atak drugiej grupy, który wprowadził zamęt we wrogim szyku i pozwolił nam zająć dogodniejsze pozycje. Wróg walczył zaciekle, do ostatniego żołnierza. Wielu żołnierzy XXII oraz terali zostało w wyniku tego ataku poważnie okaleczonych. Jednakże jakimś przedziwnym łutem szczęścia, nikt z naszych nie zginął tamtej nocy!

Zabezpieczyliśmy część twierdzy z lochami. Leżała ona na stoku i była oddzielona od właściwej części zamku (której z pewnością nie udałoby nam się zdobyć), ale to nam w zupełności wystarczyło. Upewniwszy się, iż jesteśmy przygotowani na ewentualny kontratak, rozpoczęliśmy przeszukiwanie podziemi. Odkryliśmy trzy kazamaty:

Pierwsza stanowiła lochy. Zastaliśmy tam naszych uwięzionych towarzyszy oraz tajemniczego jeńca ubranego w czerwony płaszcz z kapturem. Zdecydowanie nie był on Sławoją...

Druga kazamata była osobistym laboratorium Mojmira. Przeróżające było to miejsce: pełne poobcinanych ludzkich członków, chirurgicznych narzędzi, tajemniczych run oraz notatek. Zebraliśmy stamtąd wszystkie papiery jakie tylko znaleźliśmy.

Trzecia kazamata była jednak najstraszniejsza. Była to właśnie dawna świątynia orków, której jedną ze ścian zdobiła olbrzymia płaskorzeźba przedstawiająca tajemniczą istotę, nieco podobną do kobiety... Przed płaskorzeźbą stały zaś tajemnicze, mięsiste kokony, wystające z ziemi na niecały metr. Nikt z nas nie chciał nawet zgadywać, co się w nich znajduje.

Powróciliśmy do fortalicy niemalże sprintem – nie chcieliśmy by jakikolwiek zbłąkany żołdak Mojmira z górnej części zamku dowiedział się o naszej akcji.

Uratowany jeniec okazał się być niezwykle płochliwy – bał się każdego dźwięku. W pewnym momencie w ogóle nam uciekł. Byliśmy wtedy już na szczęście w obrębie fortalicznej Bariery, więc mieliśmy pewność, że nie wymknie się daleko.

Nie spałem owej nocy. Wraz z pozostałymi obozowymi intelektualistami, oraz kilkoma najwytrwalszymi (piśmiennymi) wojownikami, studiowaliśmy dokumenty z laboratorium Mojmira. Każda kolejna strona, każda kolejna notatka, ujawniały nam w pełni cały plan palatyna...

Wszystko zaczęło się dwadzieścia lat temu. Wtedy to Liga Kupiecka nawiązała kontakt z tajemniczymi istotami z innego wymiaru, nazwanymi Poszukiwaczami. Poszukiwały one jakiegoś tajemniczego artefaktu zwanego Lustrem. Liga Kupiecka, będąc w jego posiadaniu, postanowiła zacząć wodzić Poszukiwaczy za nos, by wymusić od nich współpracę.

Ukryła Lustro przed Poszukiwaczami w pethabańskiej twierdzy Gudur, a następnie „zaferowała pomoc w jego odnalezieniu, w zamian za odpowiednią zapłatę”. Zapłatą stał się tajemniczy Proszek, przywieziony przez Poszukiwaczy z innego świata. Pozwolił on Lidze stworzyć armię mutantów zwanych Uzurpatorami. Za ich pomocą Liga zaczęła terroryzować Pethaban, tworząc z niego swego rodzaju kolonię.

Doszło jednak do Sukursji. Na apel pewnego młodego maharadży setki wojowników z zachodnich krain zorganizowały dwie olbrzymie wyprawy, w wyniku których Pethaban został uwolniony od armii Ligii Kupieckiej.

Wśród owych wojowników był i Mojmir. Zdobył on podczas Sukursji Lustru oraz Proszek. Po pewnym czasie zaś nawiązał kontakt z Poszukiwaczami. Po powrocie do ojczyzny stał się więc w pewnym sensie spadkobiercą Ligii Kupieckiej.

Rozpoczął próby odtworzenia Uzurpatorskich mutantów. W wyniku tych właśnie prób zmarli jego dotychczasowi wojownicy. Również w wyniku tych prób doszło do panującej obecnie zarazy. Zaś atakujący nas wieczorami zombie okazały się być właśnie skutkami ubocznymi eksperymentów Mojmira.

Mojmir tworzył zatem armię mutantów w sobie tylko znanym celu! I ściągnął do Terali tajemnicze istoty z innego wymiaru, w celu pobierania Proszku do swoich eksperymentów.

A Sławoję najprawdopodobniej zamordował bez wiedzy kniazia...

Kokony znalezione zaś w kazamatach jego zamku należały właśnie do Poszukiwaczy. Sami Poszukiwacze dzielili się na trzy rodzaje: będące doskonałymi rezerwuarami energii magicznej Robotnice, podróżujące między światami Nawigatorzy oraz niszczący światy Wojownicy.

Na konfrontację z samymi Nawigatorami nie musieliśmy czekać długo. W pewnym momencie fortalicję oświetliły dziwne, migoczące, zielone światła. Nikt nie wiedział co się dzieje! Przed bramą widziano jakieś dziwne istoty, jednakże nic nie przeszło przez Bariere, ani przez mury.

Przez całą noc intelektualiści studiowali notatki Mojmira, zaś wojowie wypatrywali zza murów dziwnych, zielonych błysków...

Srebrnohora, dwa dni przed Wiecem

O poranku ledwo żywi intelektualiści wytłumaczyli załodze fortalicji zawartość notatek Mojmira. Nasze tezy krótko potem zostały poparte przez jeńca, którego to odnaleźliśmy o poranku przy namiocie sanitarnym.

Dziwna to była istota. Przypominała nieco wysokiego, kościstego człowieka, jednakże większość nienaturalnie kościstej twarzy ukrywała pod czerwonym kapturem. Nie znała naszego języka, zaś przez swoją nadwrażliwość na dźwięki oraz częste mlaskanie przywodził na myśl osobę ograniczoną umysłowo.

Jednakże nie był to człowiek. Ów „czerwony kapturek”, zwany przez nieco bardziej obeznanych Wędrowcem był istotą z innego wymiaru, która przybyła tu, by chronić Lustra przed Poszukiwaczami. Mojmir pojmał go, gdyż stanowił zagrożenie dla jego planów manipulacji Poszukiwaczy.

Ciężko było się z nim kontaktować, jednakże ostatecznie za pomocą kamyków i patyczków udało się mu wytłumaczyć, iż zamierza przenieść Lustru do innego wymiaru, tak by Poszukiwacze już nie stanowili dla naszego świata zagrożenia.

Dlaczego Poszukiwacze nie mogli zdobyć Lustra? Z tego co udało nam się wywnioskować, istoty te niszczyły stopniowo każdy świat w którym przebywały, zaś Lustru miało im nadać jakieś niezwykle możliwości w przenoszeniu się między światami.

Ostatnim, finałowym dowodem na autentyczność zdobytych dokumentów oraz na złe zamiary Mojmira były zeznania Witalidesa. Ów medyk przybył do nas, by oznajmić wyniki dotychczasowych

badania. Gdy przeczytaliśmy mu niektóre fragmenty dokumentów załamał się nerwowo i wyznał nam całą prawdę...

Podczas oblężenia twierdzy Gudar pod koniec drugiej Sukursji, cztery osoby dostały się do laboratoriów Uzurpatorów. Sulibor zabrał z nich złoto, Witalides medykamenty... zaś Mojmira zainteresowały właśnie przepisy na tworzenie mutantów oraz Proszek. Czwartą osobą miał być rzekomo bajorz Dziebor, który z podziemi twierdzy wziął zapas broni dla swojego oddziału.

Zarówno Witalides jak i Sulibor początkowo wspierali Mojmira w jego próbach stworzenia „nadżołnierzy”. Później jednak, widząc z jakimi kosztami wiązało się ich dzieło, zrezygnowali. Oboje mieli teraz na gardle ostrze Mojmirskiego noża, który to chciał użyć stworzonej przez siebie armii do przejścia władzy nad Teralą (i zapewne resztą świata też).

Jeszcze jedna rzecz została wyjaśniona zdobytymi dokumentami: tajemnica kazamat Zamku Wielkiego. Otóż w pewnym momencie badań nad mutantami okazało się, iż tylko osoby, które miały wśród swoich przodków jakiegoś nekromantę, nadawały się do mutowania. Każdy inny człowiek w wyniku kontaktu z Proszkiem umierał (i ewentualnie stawał się ożywieńcem). Dlatego też współpracujący z Mojmirem pethabański sahdak (tj. niedoszły mah) Amir wybudował w ruinach Zamku Wielkiego portal, który to miał wyłapywać i zamykać w podziemiach zamku ludzi o odpowiednich właściwościach.

Informacje dotyczące tego portalu momentalnie przykuły uwagę moją i Batiarusa. Wszak było to narzędzie, które mogło w przyszłości przydać się Imperium! Portal, który wyłapuje i zamyka w więzieniu ludzi o konkretnych właściwościach byłby doskonałą bronią w walce z kapłanami!

Terale jednakże nie pozwalali mi na kopiowanie zdobytych dokumentów. Musiałem robić to w ukryciu przed nimi. Parokrotnie zostałem nakryty, jednakże za każdym razem udawało mi się jakoś wybrnąć. Ostatecznie z niemałą pomocą hobbitki Prim udało mi się skopiować i wysłać do Castorów niemal wszystkie dokumenty Mojmira. Do dziś trwają prace i eksperymenty nad portalami, opierane na właśnie tych notatkach. I muszę przyznać, że już teraz Imperium jest w stanie skonstruować portale dorównujące (a pod niektórymi względami wręcz przewyższające) pethabańskie oryginały!

Przed podjęciem jakichkolwiek działań przeciw Mojmirovi, musieliśmy zdobyć na jego temat jak najwięcej informacji. Witalidesa już przesłuchaliśmy. Sulibor nie żył. Pozostał więc już tylko bajorz Dziebor.

Wybraliśmy się do niego popołudniu. Ja, jako że miałem za sobą zarwaną noc oraz partyzanckie przepisywanie dokumentów, pozostałem w fortalicji i próbowałem odespać...

Chatka Dziebora okazała się pokryta magicznymi runami. Jednakże nasi ludzie nie przejęli się tym faktem i weszli do środka. Dziebor, jak przystało na bajorza, uraczył gości kilkoma opowiadaniem oraz popisem gry na flecie.

Jednakże w pewnym momencie stary bajorz zorientował się, że część drużyny jedynie odwracała jego uwagę, udając zainteresowanie jego baśniami. Kilka osób w tym czasie przeszukiwało jego dokumenty. Gdy tylko Dziebor to zauważył, rozpętało się piekło.

Dwoma słowami uruchomił runy, które pokrywały jego domek. Następnie zamknął magicznie krąg w którym się znajdował... i przyzwał potężnego demona, zwanego Grimmem...

W międzyczasie w fortalicji czas płynął spokojnie. Wojowie ćwiczyli manewry, intelektualiści spali... Jakież było zdziwienie zgromadzonych na placyku, gdy nagle nad fortalicją zaczął szybować okręt, z którego zeskoczyły na linach dziesiątki groteskowo ubranych piratów, poszukujących niejakiego Piotrusia a przez bramę wbiegło przeszło czterdziestu rozbójników pod wodzą niejakiego Alibaby!

Rozpętał się kompletny chaos. Wszędzie wokół zaczęły biegać baśniowe istoty! Największy pogrom w fortalicji siała dziwna dziewczynka, która za pomocą dymu z zapalek przejmowała kontrolę nad umysłami ofiar oraz szalony szewczyk, którego główną ambicją było „skrócić wszystkich o głowę”. Fortalicję ogarnął psychodeliczny chaos i pożoga.

Również drużyna przebywająca w chatce Dziebora zaatakowana została przez baśniowe kreatury. Terałski witeź Emhrys stoczył zaciekły pojedynek z niejakim Jasiem, który to uparcie twierdził, że ów jest poszukiwaną przez niego Małgosią. Ponadto podróżnych zaatakowała dziewczynka w czerwonym kapturku z wilkiem na smyczy oraz spotkany wcześniej, ciskający śnieżkami Kai.

To przyzwany przez Dziebora demon Grimm sprawiał, że wszystkie wytwory wyobraźni bazarza stawały się rzeczywistością! Magowie i kapłani szybko zorientowali się w czym rzecz i rozpoczęli nieudolne próby odegnania demona. Jednakże najwyższym ich osiągnięciem było ograniczenie jego mocy.

Na szczęście to wystarczyło, by Hazim mógł przyskoczyć do Dziebora i poderżnąć mu gardło. Trzykrotnie, gdyż po pierwszych dwóch ciosach Dziebor nie przestawał grać na flecie. Dopiero po trzecim ciosie głowa bazarza potoczyła się po ziemi, a demon stracił niemal całkowicie swoją moc. Gdy tylko został ostatecznie wypędzony z naszego wymiaru, atakujące nas baśniowe postacie rozplynęły się... a na ich miejscu pojawili się zwykli, otumanieni chłopci.

Tak oto zginął kolejny nasz trop, kolejny towarzysz Mojmira... Ale czy na pewno? Ciężko było uwierzyć, by ów stary, szalony bazarz zabrał z podziemi Gudur cały zapas broni (której notabene nie było w chatce).

Pozostawił po sobie natomiast zbiór notatek z Pethabanu. Duża ich część była opisem tamtejszych baśni, część jednak dotyczyła demonologii. Dziebor zdawał się być zafascynowany pethabańską magią, której esencją było zniewalanie ifrytów tak, by te służyły mahowi swoją mocą. Czyżby Grimm miał być takim „zniewolonym demonem”? Tego już nigdy się nie dowiemy...

Pozostała nam więc już tylko jedna opcja: odnaleźć Lustro i zwrócić je Wędrowcowi.

Z dokumentów Mojmira wynikało, iż przetrzymywano je w krasnoludzkim mieście Dobenbarr, oddalonym niecały dzień drogi od Srebrnohory. Postanowiliśmy wybrać się tam następnego dnia. Wieczór poświęciliśmy na przygotowania przed wyprawą.

W tym czasie fortalicję odwiedziło kilku gości; Krótko po obiedzie do bram zapukał poznany już wcześniej (i wzięty za pierwszym razem nieopatrnie za palatyna) myśliwy Wojmir, który rzekomo przyszedł jedynie napoić się. Teraz już nasi agenci wiedzieli, że w rzeczywistości był on kontaktem Imperium. Krótko po odejściu Wojmira odwiedził nas również przybyły z odległych stron książę Mojmił. Zajechał on w te okolice, by wziąć udział w nadciągającym wiecu. Ostatnimi gośćmi była para sługusów maharadży, którzy przybyli z jakimś tajemnym posłaniem do naszego psionika Symeona.

Jeśli chodzi o podróż do Dobenbarr, największym problemem było znalezienie wejść do kopalni. Znały je tylko krasnoludy należące do tamtejszego klanu. Szczęśliwie jeden z nich posiadał swój warsztat niedaleko.

Sformowaliśmy niewielki oddział i krótko przed zmrokiem wybraliśmy się do niego. Wymarsz nieco się opóźnił, jako że dwóch naszych magów: Symeon oraz Raerinerin Nelias Parlain L'ombre di Offire (w skrócie: Eri) wyczuło jakieś „potężne zaburzenia magiczne”. Pozostali magowie nic takiego nie wyczuli, ale pozwoliliśmy im odprawić rytuały ochronne, tak na wszelki wypadek. Dopiero później okazało się, co naprawdę uczynili tym rytuałem...

Droga była dość długa i uciążliwa, jednakże udało nam się tam dostać bez przykrych przygód. Warsztat krasnoluda Hrumnira znajdował się pod imponującym, kamiennym, nieco już zawalającym się mostem, zbudowanym najwyraźniej przez Ofierskich architektów. Krasnolud przywitał nas niezwykle żywo... testując na nas swojego prototypowego golema! Gdy tylko zapukaliśmy do warsztatu, owa śmiercionośna maszyna rzuciła się na nas z furią i omal nie pozabijała!

Pani auxillion była o dziwo zauroczona wynalazkiem rodaka. Przy golemie zachowywała się jak mała dziewczynka widząca piękną lalkę! Potężna krasnoludzka wojowniczką skakała i piszczała z radości ilekroć potężny robot zadawał nam kolejne serie druzgocących ciosów.

W końcu jednak golem zaprzestał na nas testów. Wówczas w końcu mogliśmy wyłożyć inżynierowi naszą sprawę. Ów dał się przekonać dopiero po serii przysięg i litrze pitnego miodu (który jakimś cudem ostał się przed Sanderem i Kennym). Rozpisał nam na mapie położenie wejść do krasnoludzkich sztolni. Oraz ostrzegł, że od przeszło roku krasnoludy z tamtego miasta z nieznanego powodu zerwały wszelki kontakt ze światem zewnętrznym...

Droga powrotna zapowiadała się spokojna... Ale oczywiście okazało się, że w Terali nigdy nie można liczyć na spokój! W najgorszym możliwym miejscu nasz oddział został napadnięty przez bandę samnijczyków! Mieli znaczną przewagę liczebną i byli o wiele lepiej uzbrojeni. Co więcej, wśród ich szeregów znajdowali się zdrajcy z XXII – ci sami, którym kilka dni wcześniej darowaliśmy życie!

Walka była długa i zażarta. Ostatecznie musieliśmy ulec przeciwnikowi, który wziął w jasyr znaczną część naszych kompanów. Mimo beznadziejnej sytuacji zdecydowaliśmy się jednak przeprowadzić straceńczą próbę uratowania naszych porwanych towarzyszy.

Dopisało nam niezwykle szczęście. W momencie gdy udało nam się dogonić odjeżdżający czambuł, ów została zaatakowany z drugiej strony przez tajemniczych napastników. Walka była krótka i pełna chaosu, jako że toczyła się w zupełnej ciemności. Koniec końców udało nam się przegnać samnijczyków i uwolnić naszych towarzyszy.

Jak się okazało, z pomocą przybyła nam reszta załogi fortalicy, która to otrzymała meldunek o ataku na przebywającego w okolicy arcykapłana Skogura – Racigniewa. Okazało się, że jego również napadli Samnijczycy, gdy ten zmierzał w te strony, szykując się na wiec!

Terale ostrzegli go o planach zdrady Mojmira i namówili do rozpoczęcia wiecu dzień wcześniej – nim ten przybędzie na te ziemie. Racigniew, choć niechętnie, zgodził się.

Powróciliśmy do fortalicy późno i od razu poszliśmy spać, jako że następnego dnia czekała nas długa podróż do Dobenbarr.

CZEŚĆ II

Srebrnohora, dzień przed Wiecem

Nie dane nam było się wyspać. Z samego ranka XXII otrzymała meldunek o kolejnych atakach Samnijczyków. W okolicy zaroilo się od ich czambułów (niewielkich, konnych oddziałów zwiadowczych). Stało się jasne, że rozpoczął się kolejny niszczycielski najazd Kaganatu na te ziemie. We wschodniej Terali ogłoszono stan wojny.

Podczas gdy Terales i Wergundzi ruszyli walczyć w obronie okolicznych wsi, Symeon wyłożył zgromadzonym w fortalicji intelektualistom, z czym przyszedł do niego poprzedniego dnia ludzie maharadży.

Otóż według Symeona, przebywający tu gościnnie maharadża utracił swojego ifryta na rzecz służącego Mojmirowi sahdaka Amira. Była to bardzo niepokojąca wieść, jako że pojedynczy ifryt był w stanie spopielić całą okolicę w przeciągu kilku sekund. Musieliśmy jak najszybciej uwolnić go, nim sahdak nauczy się wykorzystywać jego moc!

Tak więc przedpołudnie poświęciliśmy na planowanie rytuału uwolnienia ifryta. Nikt z nas nie znał magii Pethabanu, więc ilość zabezpieczeń które przygotowaliśmy była wręcz oszałamiająca.

Postanowiliśmy jednak poczekać z rytuałami do następnego dnia. Bowiem reszta załogi fortalicji szykowała się już do wyprawy do Dobenbarr.

Z walk z Samnijczykami nasi żołnierze powrócili zwycięscy, lecz poobijani. Jak się okazało, szczególnym heroizmem wykazał się nasz fortaliczny moczymorda, hobbit Kenny, który to rzucił się sam jeden na grupkę Samnijczyków atakujących nasze uzdrowicielki. Teraz te same uzdrowicielki musiały go składać do kupy. Wrodzy jeźdźcy nie okazali bowiem skrupułów i posiekli naszego dzielnego hobbita niemalże na plasterki.

Do Dobenbarr wyruszył spory oddział, w którym znalazłem się i ja. Droga wiodła przez pola, lasy, pagórki i doliny... Choć wędrowaliśmy dobre kilkanaście godzin, nikt się nawet nie poskarżył. Widoki były niesamowite, pogoda bez zarzutów, humory dopisywały, a samnijskie oddziały jakimś cudem omijały...

W końcu po kilku godzinach marszu dotarliśmy do pierwszego z czterech wejść do krasnoludzkiego miasta. Przejścia bronił dziwny, bladotwarzy krasnolud, który to poustawiał nam na drodze runy-pułapki. Dopiero gdy przyrzekliśmy mu na swe brody, że nie zabierzemy z Dobenbarr żadnych kosztowności, przepuścił nas.

Nie weszliśmy jednak do sztolni. Unosiły się z niej jakieś dziwne, trujące gazy. Przed wejściem leżało jedynie ciało jakiegoś człowieka. Zabraliśmy wszystkie znalezione przy nim przydatne dokumenty oraz flet, po czym jak najprędzej oddaliliśmy się na bezpieczną odległość.

Jak się okazało, martwym człowiekiem okazał się być dawny przyjaciel Tella, poszukiwacz skarbów Boran. Wśród jego dokumentów dało się znaleźć pewien tajemniczy szyfr, mapę z wejściami do miast krasnoludzkich, oraz mapę skarbów poukrywanych w okolicznych dolinkach. Później zrobiliśmy z tego dobry użytek...

Kolejne wejście do Dobenbarr okazało się zawałone. Do kolejnego musieliśmy wędrować ponad dwie godziny...

W końcu dotarliśmy do Bramy Południowej. Była to niewielka dziura w skale, do której trzeba było przedzierać się przez prawdziwe zarośla, skały i wąwozy. Jednakże już po paru krokach w głąb jaskini przestaliśmy mieć wątpliwości, iż dobrze trafiliśmy. Potężne, przestronne hale tonące w mrokach, masywne, łukowe sufity podtrzymywane potężne kolumnady... Tak, to zdecydowanie były przedsiionki krasnoludzkiego miasta...

W jaskini działała jakaś dziwna magia, nie pozwalająca wydać nam żadnego artykułowanego dźwięku. Nasze struny głosowe zostały sparaliżowane. Na szczęście szybko opracowaliśmy sposób komunikowania się za pomocą gwizdania.

Po paru krokach w głąb korytarzy, dostrzeżliśmy ołtarz, na szczycie którego stał dziwny, błyszczący przedmiot, zapewne Lustro. Wokół ołtarza skupione były krasnoludy, pogrążone w modlitwie. Gdy tylko usłyszały nasze kroki, zaatakowały. Walka była w pewnym sensie makabryczna: nie było słyhać niczego poza szczękiem broni i gorączkowym gwizdaniem. Było też przeraźliwie ciemno, także walczyliśmy w znacznej mierze na oślep.

Część drużyny zajmowała się odciąganiem krasnoludów, podczas gdy reszta penetrowała korytarze, szukając jakiegokolwiek alternatywnego przejścia do Lustra. Jednakże w jedynym tunelu, do którego można było się dostać, stała dziwna, przerażająca istota. Przypominała ona kobietę w długiej, białej sukni, z poderżniętym gardłem. Nikt nie miał odwagi jej zaatakować.

W końcu, nie mogąc znaleźć wyjścia z patowej sytuacji, postanowiliśmy wykonać zorganizowany odwrót. Wychodząc udało nam się porwać jedną krasnoludkę. Gdy tylko wyszliśmy z jaskini (a co za tym idzie: z obszaru działania zaklęcia), ta osunęła się bez sił na ziemię.

Nasze medyczki szybko zdiagnozowały u niej stan agonalny: zdawała się nie jeść ani nie pić nic od dobrych kilku miesięcy! Przed śmiercią krasnoludka zdołała jednak jeszcze przez chwilę nawiązać z nami kontakt. Powiedziała, że wraz z Lustrem, do Dobenbarr przybyła jakaś Pani Ciszy, która zaklęła wszystkich przebywających w mieście krasnoludów. Jej magia sprawiła, że nikt nie był w stanie wydobyć głosu, jeść, ani pić, przebywając pod ziemią. Krasnoludy żyły jedynie dzięki jej upiornej magii.

Postanowiliśmy za drugim podejściem użyć dywersji. Tell, znany ze swych zdolności muzycznych, przygrywając na flecie swojego zmarłego przyjaciela, odwracał uwagę Pani Ciszy. Osłaniało go większość naszych wojów. O dziwo, muzyka fletu uspokajała atakujące nas krasnoludy! Podczas gdy Tell prowadził dywersję, niewielki oddział poszedł bokiem, przemykając za plecami krasnoludów i kradnąc Lustro niemalże spod ich nosa.

Szybko uciekliśmy z jaskini. W świetle dnia mogliśmy się już na spokojnie przyjrzeć artefaktowi.

Był to wysoki na nieco ponad trzydzieści centymetrów sopel, wykonany z nieznanego nam, świecącego lekką trupią poświatą, miękkiego materiału. Nie ważył wiele. Zdecydowaliśmy schować go w torbie i ruszyć w drogę powrotną, zahaczając po drodze o wszystkie kryjówki zaznaczone na mapie po napotkany martwym poszukiwaczu przygód.

W pierwszej jaskini natknęliśmy się na uwięzioną syrenę. Ciężko było się do niej dostać, gdyż wszyscy mężczyźni, którzy wleźli do jej korytarza, zostawali oczarowani jej muzyką. Dopiero panie były w stanie zrobić przy niej coś konkretnego.

Syrena wyjawiała nam, iż uwięził ją sahdak Amir, żądając nauki syreniej magii. Zdradziła ponadto, że jeśli powołamy się na nią u jej siostr, otrzymamy (cytuje) „broń, która pomoże nam w walce z pethabańczykiem”.

Kolejne dwie jaskinie były już typowymi kryjówkami na skarby. Obie zabezpieczone były runami ochronnymi, z którymi jednak duet mój i Symeona nie miał większych problemów.

W środku znaleźliśmy odpowiednio: woreczek pełen diamentów, pudełko z eliksirami, magicznymi formułami i amuletami, oraz niezwyklej jakości miecz wbity w skałę.

W drodze do jeziora syren natknęliśmy się na bandę zbójów. Zapewne były to resztki po armii renegatów, którą rozbiliśmy kilka dni temu. Bez problemu poradziliśmy sobie z tym niewielkim oddziałem. Ku naszemu pozytywnemu zaskoczeniu, bandyci mieli przy sobie olbrzymie zapasy żywności. Spędziliśmy w ich obozowisku dobre kilka godzin, uczując w najlepsze. Jedyne panie z naszego oddziału nie miały zbyt wiele czasu na wypoczynek – wysłaliśmy je do syren, by powiadomiły je o ich porwanej siostrze.

Panie powróciły po niecałej godzinie, niosąc tajemniczą muszlo-trąbę. Syreny obiecały nam, iż owe urządzenie pomoże nam w walce z Mojmiem i sahdakiem Amirem.

Droga powrotna była dość uciążliwa, gdyż było już bardzo późno w nocy. Do fortalicji dotarliśmy już po zachodzie księżyca...

Podczas gdy większość załogi Srebnohory wędrowała przez Teralę, poszukując Lustra oraz innych skarbów, ta część garnizonu, która pozostała w fortalicji, kontynuowała zabawę w kotka i myszkę z Samnijczykami po okolicznych wsiach. Kolejne bandy zostawały wyłapywane i niszczone, jednakże widmo inwazji wciąż pozostawało żywe. Poza walką z najeźdźcą, żołnierze pomogli również znajomemu już krasnoludzkiemu inżynierowi, który potrzebował kryształów do naprawy golema.

Gdy po powrocie wyprawy wszyscy zgromadzili się w karczmie – centralnym punkcie fortalicji, będącym miejscem wszelakich narad – rozpoczęła się relacja z podróży do Dobenbarr. Trwająca cały dzień wyprawa zasługiwała na długą opowieść... Jednakże relacjonowanie wyprawy zostało w połowie niespodziewanie przerwane; W momencie, gdy jeden z wojów wyciągnął z torby Lustro, by pokazać je zgromadzonym, wydarzyło się coś nieoczekiwanego...

Spod sufitu karczmy, na linach, wyskoczyły dwie osoby, które prostymi zakłęciami sparaliżowały wszystkich zgromadzonych! Wyrwały one Lustro z rąk właścicielowi, po czym pobiegly w stronę bramy!

Dopiero po paru sekundach zakłęcie paraliżujące przestało działać. Nie udało się co prawda złapać tajemniczego rabusia biegnącego z Lustrem, ale udało się pochwycić i spętać jego współnika. Ku naszemu zdumieniu okazało się, iż był to ten sam myśliwy, który dzień wcześniej naradzał się potajemnie z Batiarem! Agent Imperium!

Nie trzeba było nawet długiego przesłuchania, by ten fakt wyszedł na jaw. Fortaliczny alchemik Reshi podał mu veritaserum – eliksir po którym mówiło się wyłącznie prawdę.

W fortalicji zawrzało. Oto Imperium ujawniło się. I ukradło lustro! Nie muszę chyba opisywać, że na nasz oddział dywersantów padł wówczas blady strach...

Batiarus jednak zachował zimną krew. Choć przebadali go wszyscy alchemicy oraz psionicy, udało mu się w jakiś sposób zachować tajemnicę. Nasza komórka (przynajmniej na razie) pozostała bezpieczna...

Przebywający w fortalicji kapłani pozostali jednak już postawieni w stan gotowości. Gdy przed świtem wszyscy poszli do swych kwater, rozpoczęli oni przeszukiwania namiotów... Przez kilka kolejnych godzin w całej fortalicji słychać było kłótnie, przepychanki... a nawet i walki.

Srebrnohora, dzień Wiecu Teralskiego (lipcowa pełnia księżyca 895 roku po W.E.)

Późnym przedpołudniem fortalicja obudziła się dziwnie opustoszała. Cela w której przetrzymywany był schwyty agent Imperium stała otworem. Jej ściany zostały skruszone przez potężne korzenie drzew (co niewątpliwie było dziełem jakiejś druidki). Przy bramie zastano zaś dwóch ogłuszonych strażników.

Sam wiedziałem już co zaszło zanim rozpoczęło się dochodzenie. Krótco przed świtem Batiar podrzucił mi karteczkę z krótką wiadomością:

„Uciekliśmy z fortalicji wraz z więźniem. Musimy się dowiedzieć, co planuje drugi oddział, więc się do niego udajemy. Pozostawiliśmy Ciebie wraz z Kalmarem jako wtyczki w XXII. Donoście nam regularnie”

Byłem przerażony. Ja wtyczką!? Z Kalmarem!? Owszem, miałem z całego oddziału najlepsze kontakty z resztą załogi fortalicji, jednakże nie byłem przeszkolony do tego typu misji!

Pierwszą decyzją pani auxillion po zidentyfikowaniu zbiegów były poszukiwania na szeroką skalę po okolicznych lasach. Cała fortalicja wyruszyła, by odnaleźć Batiara, Leclerca, Tella, Prim i Tuuli. Oraz drugą komórkę Imperium, posiadającą Lustro.

Robiłem co w mojej mocy, by ułatwić naszym wydostanie się z oblawy. Zwodziłem naszych ludzi, przekręcałem rozkazy... Imperialni agenci byliby w stanie uciec setki razy! Jednakże oni mieli inny plan: postanowili dać się złapać, by przekazać mi i Kalmarowi nowe rozkazy. Oraz by ułatwić komunikację między komórkami – na popołudnie owego dnia szykował się już oddział mający odbić naszych.

Imperium zdecydowało się oddać Lustro fortalicji. Wędrowiec będzie wiedział lepiej, co z nim zrobić. W naszej gestii pozostało jedynie namówić go, by nasłwał Poszukiwaczy na świat bogów...

Na samych Poszukiwaczy nie musieliśmy zaś czekać. Krótco po powrocie do fortalicji, przez bramę, niczym przez masło, przeszło dwóch Nawigatorów. Straszliwe istoty w długich, czarnych płaszczach i mackowatych brodach siały popłoch, strzelając do ludzi tajemniczymi, zielonymi promieniami, niosącymi niechybną śmierć. To była rzeź.

Na szczęście Dagobertowi udało się naprędce wyłączyć Bariere. Grupa ośmiu osób, w której sam się znalazłem, uciekła z fortalicji tylnym wyjściem. Wraz z Lustrem.

Po kilku minutach biegu uznaliśmy, że jesteśmy już dostatecznie daleko od strefy przeszukiwanej przez Poszukiwaczy i postanowiliśmy ukryć Lustro (na wszelki wypadek

w innym miejscu niż zdecydowano podczas narady). Miejsce kryjówki zabezpieczyliśmy kilkoma pułapkami. Następnie odczekaliśmy parę minut, a gdy już odgłosy walki umilkły, ruszyliśmy z powrotem do fortalicji.

Po powrocie kapłan Skogura zwany Ursynem upierał się, by wymazać mi pamięć, gdyż podejrzewał mnie (słusznie zresztą) o konszachty z Imperium. Dlatego też czym prędzej zapisałem wszystko co zobaczyłem na kartce, którą potem przekazałem Kalmarowi.

Atak Nawigatorów spustoszył fortalicję. Wszyscy ci, którzy pozostali w środku, zostali obezwładnieni i przesłuchani magicznie przez Nawigatorów. Na szczęście nikt nie wiedział nawet o tym, że grupce osób prowadzonych przez Dagoberta udało się wymknąć z Lustrem. Tak więc po przeszukaniu namiotów Nawigatorzy ulotnili się. Nie zdążyliśmy ochłonąć, gdy przeprowadzony został inny atak. Zamęt jaki zapanował w fortalicji oraz wyłączenie Bariery pozwoliło oddziałowi Imperium bez problemu wdrzeć się do środka, by uwolnić naszych. Niestety zrobili to minimalnie za szybko – ani ja, ani Kalmar nie zdążyliśmy przekazać naszym ludziom współrzędnych ukrycia Lustra.

Atak Nawigatorów zaalarmował Wędrowca. Przybył on do nas krótko po tym, by przedstawić swój plan: chciał, byśmy przygotowali mu imitację Lustra, za pomocą której udałoby mu się wywabić Poszukiwaczy do innego wymiaru. Później przybyłby on do nas i odebrał oryginalne Lustro, by móc je ukryć w jeszcze innym wymiarze. Przynajmniej przez jakiś czas byłby tam bezpieczny.

Oczywistym stało się, że celem Imperium jest namówienie Wędrowca, by wysłał podróbkę Lustra do świata bogów. Próbowałem mu to wytłumaczyć, jednakże cały czas przebywali przy nim jacyś ludzie, a bariera językowa okazała się nie do pokonania...

Tworzenie pseudolustra było procesem długim i skomplikowanym, jednakże ostatecznie dzięki współpracy wszystkich zgromadzonych w fortalicji magów, udało się stworzyć artefakt, który Wędrowiec uznał na nadający się. Jedynym efektem ubocznym produktu był fakt, iż każdy przedmiot którego dotknął, momentalnie zamarał.

Gdy już zmierzchało, wszyscy Terale ruszyli na niedaleką polanę, by przygotować wiec. Reszta drużyny ruszyła zaś z Wędrowcem na Pohryń, by tam ów stworzył portal, którym przeszedłby do innego wymiaru wraz z Poszukiwaczami.

Pohryń stał zupełnie opustoszały. Widać orkowie dokończyli nasze dzieło sprzed paru dni. Wraz z Symeonem oraz magiem wody Erim rozpoczęliśmy rytuał, mający na celu dodać naszemu przyjacielowi z innego wymiaru mocy potrzebnej do wędrówki.

Szybko przybyli Nawigatorzy. Rozpoczęła się dramatyczna walka z czasem. Podczas gdy magowie powtarzali w kółko słowa rytuału, wojownicy starali się utrzymać Nawigatorów na bezpiecznym dystansie.

W końcu po paru minutach pełnej napięcia zabawy w kotka i myszkę Wędrowcowi udało się otworzyć portal. Wskoczył weń, a za nim pobiegli i Nawigatorzy. Gdy tylko ostatni z nich przekroczył próg, portal znikł.

Tak oto nasz świat został uratowany przed zniszczeniem z rąk Poszukiwaczy. Szkoda, że nie udało nam się wykorzystać okazji do zniszczenia (a przynajmniej poważnego uszkodzenia) świata bogów... Ale cóż, będą jeszcze inne okazje!

Po przegrupowaniu się i zniszczeniu resztek kokonów Poszukiwaczy, ruszyliśmy od razu na wiec – choć nie byliśmy Teralami, mogliśmy przynajmniej uczestniczyć w nim jako obserwatorzy.

Jakież było moje zdumienie, gdy na miejscu zastałem mych kompanów, reprezentujących „przyjaciół Dragana z Ofiru”. Jak się okazało, w międzyczasie książę Dragan zacieśnił swoją współpracę z Imperium, dzięki czemu agenci Batiarusa zostali osobiście zaproszeni przez niego na wiec. Wykorzystałem okazję i przekazałem potajemnie Leclercowi informacje o lokalizacji Lustra.

Wiec rozpoczął się od serii rytualnych tańców. Na miejscu zebrały się wszystkie ważniejsze rody Terali, reprezentacja kowenów druidzkich oraz arcykapłani chramów Skogura oraz Silvy. Nie pojawił się arcykapłan Widy, gdyż wciąż przebywał w lochu Dragana.

Cały wiec obracał się oczywiście wokół tego, czy przyznać Draganowi buławę wojewody, czy też nie. Oczywiście w tym kontekście wywleczone zostały na wierzch dziesiątki spraw mniej lub bardziej istotnych, ale powiązanych z tą kwestią. Mówiono o Terali, Draganie, Mojmirze, zarazie, najazdach Samnijczyków, morderstwie Sławoi, represjach wobec kapłanów, bezpłodności Dragana oraz wielu innych, nieraz zupełnie nieistotnych sprawach... Bardzo często debata przeobrażała się w krzykanię, a nieraz omal nie dochodziło do rękoczynów!

Długo trwały kłótnie możnych. Nie będę wdawał się w szczegóły, lecz od razu przejdę do wyników; Wiec przyznał Draganowi buławę wojewody. Warunków było kilka: Dragan miał się ożenić z Samboją i adoptować jej dziecko, które nosiła w łonie. Miał też zaprzestać represjonowania kapłanów na swoich ziemiach oraz skazać Mojmira na śmierć. Dragan przystał na wszystkie warunki. Przynajmniej oficjalnie. Przed wiecem bowiem odbył potajemną rozmowę z delegacją Imperium, która zapewniła mu poparcie pod warunkiem, iż ów nie zaprzestanie represjonowania kapłanów. Mieliśmy nadzieję, iż dotrzyma obietnicy wobec nas, a nie wobec Racigniewa.

Wszyscy powrócili z wiecu przepelnieni entuzjazmem. Oto Terala została zjednoczona pod buławą Dragana, wina Mojmira udowodniona, a Poszukiwacze odegnani! Niektórzy, jak na przykład Ursyn, cieszyli się otwarcie z kompromitacji Imperium (które to na wiecu nie odezwało się ani słowem). Inni jednak, jak na przykład agenci Imperium, cieszyli się po cichu, zacierając ręce i szykując się na następną dzień, który to miał przynieść niemiłą niespodziankę kapłanom Terali...

Srebrnohora, dzień po Wiecu

O poranku do fortalicy przybył Wędrowiec, by odebrać oryginalne Lustro. Jakież było moje zdumienie, gdy po dotarciu na miejsce kryjówki okazało się, że Imperium nie wykorzystało moich informacji i nie ukradło Lustra. Później dopiero Leclerc wyznał mi, iż po wiecu, kiedy to moje koordynaty zostały otrzymane, członkowie oddziału nie mogli dojść do porozumienia w kwestii tego co zrobić z Lustrem. Przez całą noc kłócili się o to, aż w końcu gdy o świcie podjęli decyzję o kradzieży artefaktu, było już za późno.

Nie wszystko zostało jednak zaprzepaszczone. Wędrowiec był nam niezwykle wdzięczny. Zgodził się wyświadczyć każdemu z nas jakąś przysługę. Wtedy to udało mi się w końcu odciągnąć go na bok i wytłumaczyć mu dokładnie, czym jest świat bogów i dlaczego zależy nam na możliwie jak największym uszkodzeniu go. Nareszcie! Wędrowiec wysłuchawszy mnie obiecał, że „coś przeniesie” – w naszej gestii pozostało jedynie zdecydować, jakież to prezent dostarczymy bogom... (sam uważam, że najlepszym pomysłem byłoby wysłanie tam pijanego hobbita).

Podczas gdy zespół magów i inżynierów odgrzebywał ukryte Lustro dla Wędrowca, do fortalicji przybyła wraz ze swoją siostrą Samboja. Czy raczej: została wniesiona. Owa świeżo upieczona żona Dragana rodziła! Na szczęście mieliśmy w fortalicji naprawdę doskonałą kadrę medyczną. Poród został odebrany niemal bez przeszkód. Niemal.

W momencie przyjścia na świat, na dziecko rzucona została tajemnicza klątwa. Wszyscy przebywający w okolicy magowie wyczuli potężne wyładowania magiczne wokół dziecka. Choć nikt nie wiedział, jak owo zaklęcie miało działać, każdy czuł wyraźnie, iż jest to bardzo potężna magia, nie będąca związana z żadną znaną naszym magom domeną. Na szczęście bardzo szybko udało się namierzyć miejsce, z którego zostało ono rzucone.

Momentalnie po otrzymaniu koordynat, niczym rażona piorunem, grupka lekkobrojnych wspieranych przez magów wybiegła z fortalicji. Choć przybyli na miejsce rzucenia zaklęcia w rekordowo szybkim tempie, na miejscu znalazła już tylko ślady po rytuale.

Na środku kręgu usypanego z Pyłu leżał zabity maharadża. Wokół niego leżało wiele magicznych przedmiotów i notatek. Wszystko zostało zebrane i zaniezione do fortalicji. Symeon od razu wziął się za sprawdzanie zgromadzonych przedmiotów. Bardzo szybko jednak stracił przytomność. A zaraz po nim ja, gdyż próbowałem go uratować... A potem Eri...

Gdy już wszyscy magowie z fortalicji zostali ocuceni, a dokumenty przetłumaczone przez Hazima, udało nam się wydedukować ogólny zarys sytuacji; Ktoś zamordował maharadżę, by móc odprawić pethabański rytuał przejścia magicznej kontroli nad dzieckiem Samboi. Czemu? Ponieważ według gwiazd i prorocत्व owo dziecko miało w przyszłości dokonać wielkich rzeczy. Miało mieć moc tak wielką, by mierzyć się z bóstwami...

O ile większość osób nie przywiązała do tego faktu wielkiej wagi, o tyle ja i Kalmar – agenci Imperium – od razu wyczuliśmy, kim zapewne jest to dziecko;

Czyżbyśmy odnaleźli Imperatora?

Musieliśmy jak najszybciej powiadomić o tym Castorów. Kimkolwiek była osoba, która rzuciła klątwę, należało ją usunąć! Wysłaliśmy kruka do naszej zaprzyjaźnionej szamanki Tuuli, by oddział Batiarusa jak najszybciej powrócił do fortalicji.

Nim jednak nasi ludzie powrócili, do fortalicji zapukała inna istota...

Nagle wszędzie wokół zaczęły buchać płomienie! Potężne huki przetoczyły się nad drewnianą fortalicją! Cała XXII kohorta wpadła w popłoch. Nie wiedzieliśmy, czy to smok, czy pożar, czy koniec świata. Fortalicja zdawała się cała tonąć w ogniu!

Na środku dziedzińca pojawiła się otoczona płomieniami kobieca sylwetka. Był to ifryt, który do niedawna należał do zamordowanego maharadży.

Wszyscy uciekali przed nim w popłochu. Ów zaś, idąc spokojnym krokiem przez dziedzińiec, buchając wciąż na lewo i prawo płomieniami, podszedł do maga Symeona, stanął nad nim, zapłonął wściekle całą paletą barw... i nazwał go „skończonym pajacem”!

Cała załoga fortalicji z niedowierzaniem słuchała, jak potężny i niszczycielski geniusz ognia opieprza naszego psionika, wyzywając go od kretynów, pajaców i błaznów. Poza tym doradziła Ursynowi, by zaprzestał żalonych prób przegania ją za pomocą muszli syren.

W końcu po paru minutach Symeon przyznał się niechętnie, że nagła wizyta wściekłego ifryta rzeczywiście była jego zasługą.

Aszura (jak zwali pethabańczycy ifryta) wcale nie została wykradziona maharadży przez sahdaka! A przynajmniej nie wtedy, kiedy nam o tym powiedział Symeon (na spółkę z Erim). Tak naprawdę nasz psionik miał zawarty układ z geniuszem ognia, wedle którego miał on uwolnić go od maharadży. Nam zaś wmówił, iż uwalniamy go od sahdaka! Rytuał uwolnienia poszedł jednak na tyle niezdarnie, że zamiast uwolnić ifryta, ów został jedynie przechwycony przez sahdaka. Tym razem naprawdę.

Sahdak Amir na szczęście okazał się nieudacznikiem. Choć spętał ifryta swoją magią, jego „smycz” okazała się bardzo długa. Na tyle długa, by ifryt mógł udać się bez jego wiedzy do naszej fortelicji w celu opieprzenia Symeona (i podpalenia tyłka Dagobertowi, który w tym momencie zakradł się doń od tyłu z wiadrem wody).

Warunek postawiony przez Aszurę był prosty: do wieczora mieliśmy uwolnić ją od sahdaka (najlepiej zabijając go), inaczej spopieli nam całą fortelicję. Cóż... Nie mieliśmy za bardzo wyboru, musieliśmy przystać na jej prośbę.

Ku naszemu zaskoczeniu, po ulotnieniu się ifryta okazało się, iż tak naprawdę żaden element fortelicji nie został nawet przypalony! Przynajmniej na razie Aszura pozostała miłosierna...

Nie zdążyliśmy jednak nawet przygotować się do polowania na sahdaka, gdy do bramy zapukał zdyszany żołnierz kniazia Dragana. Wiadomość, jaką niósł była krótka: „Wojna!!!”

Mojmir wraz z sahdakiem powrócili na Pohryń o poranku. Gdy zastali swoją twierdzę zniszczoną i dowiedzieli się, iż ich intrygi wyszły na jaw, postanowili odkryć wszystkie swoje karty.

Z najgłębszych podziemi Pohrynia wylazła armia mutantów. Nie była wielka, ale jak to ujął Sulibor w swoim testamencie „o nadludzkich możliwościach”. Wojska teralskie, mimo siedmiokrotnej przewagi liczebnej, zostały rozbite w ciągu kilku godzin! Teraz trwało oblężenie Karantanii – głównego grodu Dragana.

Pierwszym odruchem żołnierzy było oczywiście „na bój!!!”, dopiero pani auxillion ostudziła zapał swoich wojów. Czymże była jedna kohorta wobec całej armii Mojmira? Zamiast ruszać w pole, postanowiono przygotować obronę Srebrnohory. Fortalicja, przez wzgląd na obecność Samboi oraz jej dziecka, musiała pozostać dobrze obsadzona.

W momencie, gdy zastawiano bramę, do fortelicji przybył oddział Imperium. W samą porę! Wymówka wymyślona przez Batiara była prosta i trafna: „mamy wspólnego wroga, Mojmir poluje też i na nas, wiemy że macie podstawy by nas nie lubić, lecz w bitwie przyda się każdy miecz”. Po chwili wahania auxillion Ingeboran zgodziła się przyjąć ochotników.

Przybyła wraz z oddziałem Imperium hobbitka Prim przekazała mi i Kalmarowi odpowiedź na nasze podejrzenia: Matka Natura, zapytana przez druidkę, potwierdziła iż dziecko Samboi jest najprawdopodobniej poszukiwanym przez nas Imperatorem.

Oczekiwanie na wroga trwało dobrze ponad godzinę. Przygotowaliśmy wszystko: barykady, wiadra z kwasami, miny, magiczne pułapki...

W końcu nadeszła armia wroga. Jak się okazało, Mojmir wiedział o przebywającej tu Samboi. A ponadto uznał nas za większe zagrożenie niż Dragana (co było uzasadnione, biorąc pod uwagę nasze

wyczyny z Pohrynia). Jego armia rzeczywiście nie była liczna, lecz jej trzon stanowiły potężne, doskonale uzbrojone i wyszkolone mutanty.

Przypuścili szturm na bramę. Choć atakowali wściekle, jakimś cudem udało nam się ją utrzymać. Przygotowane przez nas pułapki i zasieki uniemożliwiły należyte osłonięcie tarana, dzięki czemu jego obsługa szybko poległa od naszych strzał. Łucznicy spisali się wyśmienicie.

W końcu po trwającym niemal godzinę niezwykle krwawym szturmie na bramę, Mojmir nakazał swoim ludziom wycofać się. Kolejny atak, zgodnie z naszymi przewidywaniami, przypuszczony został na najsłabszy punkt palisady. Na szczęście dla nas, Bariera Dagoberta wciąż działała.

Początkowo ani sahdak Amir, ani Mojmir (który jak się okazało również posiadał magiczne zdolności) nie byli w stanie przełamać Bariery. W pewnym momencie jednak sahdak oddalił się do jakiegoś „rezerwuaru mocy”. Gdy powrócił, jednym potężnym zaklęciem zmiotł całą naszą magiczną osłonę w pył.

Wojska wroga wdarły się na mury fortalicji. Nasi cofali się stopniowo. Szybko jednak zostali zepchnięci z palisady, pomiędzy namioty. Obrona opierała się teraz o kolejne barykady, poustawiane jeszcze przed bitwą co kilka namiotów. Niestety, żadna nie wytrzymała za długo.

Największe nadzieje wiązaliśmy z barykadą wzniesioną na polu treningowym dla łuczników. Ze względu na swoje położenie oraz rozmiar, była równie silnym punktem oporu, co prawdziwa palisada. To na niej w końcu udało nam się ponownie zorganizować porządną szyk obronny. Jednakże nawet ta barykada nie oparła się dłużej niż pięć minut potężnym ciosom gigantycznego kiścienia Mojmira.

Sam Mojmir budził prawdziwą grozę na polu bitwy. Przewyższający nawet największych naszych wojowników o głowę, był prawdziwą górą mięśni. Okuty w pełną, czarną zbroję płytową i nosząc na twarzy straszliwą, żelazną maskę, ów olbrzym przypominał demona z innego świata. Z pewnością na samym sobie zastosował sporo Pyłu – jego siła znacznie przewyższała siłę jakiegokolwiek śmiertelnika. Jednym ciosem swego kiścienia był w stanie zmieść cały szereg naszych żołnierzy!

Gdy po kilku minutach heroicznych walk, barykada na placu łuczników ostatecznie padła. Wojska wroga wdarły się na dziedziniec. Zostaliśmy rozdzieleni na dwa punkty oporu: ostatnią barykadę, ustawioną przed wejściem do karczmy, oraz odcinek palisady nad bramą, który wciąż pozostał niezdobyty. Sam walczyłem na palisadzie. Początkowo dobrze nam szło. Broniliśmy się tam bardzo długo.

W pewnym momencie jednak sahdakowi udało się opętać jednego z naszych tarczowników. Wówczas obrona poszła w rozsypkę. Co prawda chwila załamania trwała jedynie kilkanaście sekund, jednakże po unieszkodliwieniu opętanego towarzysza (oraz kilku korzystających z okazji przeciwników) okazało się, iż ponieśliśmy zbyt duże straty, by móc kontynuować obronę. Podjęto decyzję o opuszczeniu palisady i podjęciu próby przedarcia się do karczmy.

W strażnicy nad bramą pozostał jedynie ranny witeź Heddar, który nie chciał być dla wycofującej się grupy ciężarem. Pozostał, by samotnie osłaniać nasz odwrót...

Zauważywszy nasze starania, załoga broniąca karczmy ruszyła z kontratakami, by ułatwić nam odwrót. Nie była to dobra decyzja – linia frontu szybko załamała się i nasi wojowie zostali zmuszeni do wycofania się z powrotem aż do bram karczmy. Część zaś wojowników, którzy w wyniku nieudanego kontrataku znaleźli się głęboko wśród szeregów wroga, została otoczona i pozostawiona sama sobie.

Niektórym z nich udało się przedrzeć do grupki próbującej opuścić palisadę. Część jednak pozostała na dziedzińcu. Wraz z nimi sama auxillion Ingeboran. Naprzeciwko niej stanął Mojmir we własnej osobie. Stoczyli zaciekły pojedynek. Ich starcie było długie i niesamowicie brutalne. Zarówno palatyn jak i auxillion nie oszczędzali się i byli zdesperowani dorwać przeciwnika. W końcu jednak, po bohaterskiej walce, dzielna krasnoludka musiała ulec brutalnej sile zmutowanego człowieka. Otrzymała potężny cios, który strzaskał jej żebra. Nie była w stanie już się podnieść. Potężny kiścień Mojmira urwał się i pozostał już w jej plecach.

Mojmir nie dobił jednak swojej ofiary. Oznajmił, iż: „oszczędza ją przez wzgląd na dawną przyjaźń”. Dopiero kilka dni po bitwie przypominano sobie o tym fakcie... Oraz o tym, że Ingeboran przywiozła ze sobą z Pethabanu potężne zapasy broni...

Teraz jednak, w ogniu walki, nikt nie zwrócił na to uwagi. Upadek przywódcy wstrząsnął naszymi wojskami. Obrona zrobiła się zupełnie chaotyczna i rozpaczliwa. Po zmasakrowaniu żołnierzy walczących na placyku, pozostały tylko dwa punkty oporu: karczma oraz niewielki odcinek palisady. Żołnierze z palisady byli jednak w odwrocie – próbowali ze wszystkich sił, lecz bez powodzenia, przedrzeć się do karczmy.

W pewnym momencie uświadomiliśmy sobie, że nasze wysiłki w celu przedostania się do karczmy są bezcelowe. Z placyku przedarła się do nas pewna dzielna fiordyjka, która oznajmiła, iż nie mamy rady opuścić palisady i pozostaje nam jedynie bronić jej do ostatniej kropli krwi!

Tak więc pozostaliśmy na palisadzie, broniąc się przed coraz potężniejszymi atakami wroga. Po kilku minutach straciliśmy ostatnich tarczowników, a ja zużyłem prawie cały zapas swojej energii magicznej. Wtedy podjęto decyzję o użyciu ostatniej, rezerwowej broni: kwasu alchemika Reshiego. Jakież było nasze zdumienie, gdy okazało się, że wylanie całego wiadra potężnego kwasu nie zrobiło na mutantach... żadnego wrażenia! Oblani wojowie Mojmira reagowali na stężony kwas jedynie upiornym uśmiechem i coraz potężniejszymi atakami!

W tym momencie palisada była już stracona. W kilku następnych sekundach Fiordyjka straciła rękę, ja otrzymałem potężne trafienie w miejsce, gdzie plecy tracą swą szlachetną nazwę, medyczka Aine została trafiona w ramię... zaś pozostali albo rzucili się z palisady, albo zginęli na miejscu. Cały oddział został zmasakrowany. Tylko nasza trójka ostała się, krytycznie ranna...

Gdy tak leżeliśmy na palisadzie, wykrwawiając się na śmierć, jeden z żołnierzy Mojmira podszedł do nas. Dobijał rannych, uprzednio pytając ich o nazwiska i pochodzenie, gdyż „lubił znać tych, którym zabiera życie”. W końcu podszedł i do mnie. Już czułem na gardle zimne ostrze stali... Wtem, nagle wydarzyło się coś niespodziewanego...

Z karczmy – ostatniego punktu oporu – wyleciał kapłan Modwita zwany Ortanem.

A przynajmniej coś, co jeszcze kilka minut temu było Ortanem. Bowiem istota, którą ujrzelśmy: wielka, potężna, otoczona płomieniami i poruszająca się szybciej niż jakikolwiek śmiertelnik, nie mogła być już człowiekiem. Jak się później okazało, Ort, będąc ciężko rannym, odprawił w karczmie (służącej w czasie bitwy jako lazaret) rytuał, w którym oddał swoje życie Modwitowi. Wówczas to, bóstwo wstąpiło w jego ciało.

Jego niszczycielski atak przełamał linie wojsk Mojmira. Kolejni mutanci padali pod jego ostrzem. W końcu przyszła kolej i na samego wodza. Ich walka była niezwykłym widokiem. Obaj wojownicy znacznie przewyższali zdolności zwykłych śmiertelników.

Jednakże ku naszemu zdumieniu, półbóg jakim stał się Ort uległ! Po długim i brutalnym pojedynku ciało w które wstąpiło bóstwo spopieliło się do końca. Resztki pyłu po awatarze Modwita zostały wdeptane w ziemię. Mojmir pokonał same bóstwo!

Wydawać by się mogło, że sytuacja jest już beznadziejna. Karczmy broniło już tylko kilku ostatnich, zrozpaczonych wojowników. Wszędzie wokół wałały się trupy. Zaś na placu pozostało wciąż wielu mutantów, oraz sam Mojmir z sahdakiem.

W pewnym momencie jednak, zupełnie niespodziewanie, pethabański niedoszły mah osunął się na ziemię. Cała moc nagle go opuściła!

To Hazim, podczas boskiego szału Ortana, wykorzystał zamieszanie i wyprowadził grupkę wojowników poza fortalicję, by w geście desperacji odszukać rezerwuar mocy, o którym to wcześniej mówił sahdak. Jak się okazało, muszla otrzymana od syren służyła właśnie do namierzania rezerwuarów mocy! Rzeczonym rezerwuarem okazała się zniewolona Robotnica. Istota z obcego wymiaru trzymana była przez Amira w więzieniu z magicznych kręgów i służyła mu jako źródło magicznej energii. W momencie gdy została uwolniona przez naszych wojowników, z sahdaka i Mojmira uleciały wszelkie magiczne zdolności!

Wciąż jednak mieli na swych usługach armię mutantów, która nie odpuszczała. Nimi Robotnica zajęła się osobiście.

Straszliwa istota wkroczyła spokojnym krokiem na plac. Wrzeszcząc przeraźliwie zaczęła masakrować wojów Mojmira. Jej głos był zabójczy – każdy na którego skierowała swój pisk, padał sparaliżowany. Mojmir, zauważywszy co się dzieje, nakazał całej swojej armii zaatakować ją. Jednakże nawet największe mutanty nie były w stanie wytrzymać głosu, który z siebie wydawała uwolniona Poszukiwaczka. Sam Mojmir zatkał sobie uszy grudkami ziemi i rzucił się na nią z mieczem. Już wydawać by się mogło, że zdoła ją zabić... jednakże ta w chwili konfrontacji z palatynem okazała się być nieludzko zwinna! Usunęła się przed jego klingą i poderżnęła gardło własnymi pazurami!

Tak oto cała armia mutantów została rozbita przez tylko jedną pozaziemską istotę. Półżywego sahdaka Amira Robotnica wzięła zaś ze sobą osobiście. Nikt nie chciał zgadywać, jak będzie wyglądała jej zemsta na pethabańczyku.

Po oblężeniu fortalicja została niemal doszczętnie spustoszona. Co prawda brama i karczma ostały się niemal nienaruszone, lecz większość namiotów i budynków gospodarczych strawił ogień. Palisada w wielu punktach była kompletnie zniszczona (a nawet pewnym miejscu rozpuścił ją kwas). Główny plac zasłany był trupami, zaś we wszystkich alejkach wałały się szczątki barykad.

Zginęło wielu dzielnych wojowników. Drugie tyle zostało trwale okaleczonych. Specjalny grobowiec przygotowaliśmy Ortanowi, który tak bohatersko poświęcił się w czarnej godzinie. Jednakże mimo tych wszystkich strat, wygraliśmy!

Opatrzyliśmy rannych, pochowaliśmy poległych i oczyściliśmy teren fortalicji. Ciężko ranną Ingeboran zanieśiono do lazaretu. Z noszy przebaczyła ona Imperium i przyjęła naszych oficjalnie w szeregi XXII. Oczom zgromadzonych nie umknął tatuaż, jaki skrywała dotychczas na łopacie. Był to symbol Trójramiennych – oddziału w którym służył również i Mojmir, Sulibor, Witalides i Dziebor... Nikt jednak nie miał siły zadawać zbędnych pytań.

Krótko po bitwie do fortalicy zapukał posłaniec Dragana. Przyniósł on radosną wieść o zwycięstwie wojsk kniazia pod Karantanią. Trwająca niespełna dzień wojna domowa zakończyła się zwycięstwem Dragana.

On sam, dowiedziawszy się iż w naszym fortalicznym lazarecie przebywa Samboja wraz z jego dzieckiem, postanowił przybyć tu, by na naszych oczach uczcić zaślubiny z kniahinią.

W fortalicy zawrzało. Czym prędzej przygotowano wszystko pod uroczystość. Choć całą okolica była spustoszona, a my zdziesiątkowani, postanowiliśmy dołożyć wszelkich starań, by jak najlepiej ugościć Dragana.

Kniaź przybył wieczorem. Uroczystość ze względu na warunki fortalicy, była raczej kameralna;

Najpierw odbyły się zaślubiny. Kniaź Dragan, syn Niemira z Karanawic oraz kniahini Samboja, córka Wienisławy z Bobrowiców, połączyli w sobie dwa najpotężniejsze rody Terali. Następnie Dragan oficjalnie przyjął syna Samboi za swojego, zapewniając sobie dziedzica mimo bezpłodności.

Kolejną uroczystością było wręczenie buławy wojewody. Arcykapłan Skogura, Racigniew, odprowadzając odpowiednie obrządki, wręczył ją Draganowi. Wówczas to doszło do niemałego skandalu. Otrzymawszy bowiem już buławę, Dragan zażądał od zgromadzonych złożenia hołdu (co było częścią obrządku). Część możnych zażądała w tym momencie przysięgi od Dragana, iż ten da im najważniejsze urzędy w państwie. Gdy ów odmówił, ci odmówili oddania hołdu. Sytuacja stała się napięta. Musieli interweniować gwardziści, którzy wyprowadzili niepokornych kniazów poza fortalicję.

Również arcykapłan Racigniew odmówił złożenia hołdu. Uzasadził to tym, że będzie się kłaniał „jedynie bogom”. Dragan i Samboja pozostali jednak niewzruszeni. Zażądali od kapłanów hołdu, pod groźbą wygnania. Racigniew jednak nadal nie ustępował.

W końcu Dragan nie wytrzymał... i powalił arcykapłana potężnym ciosem buławy! Tej samej, którą dosłownie parę chwil wcześniej od niego otrzymał! Wywołało to głośne wiwaty Imperium, druidów i znacznej części teralskich wojów, oraz okrzyki oburzenia pozostałych obecnych kapłanów i paladynów.

Racigniew wraz z Ursynem zostali wygnani. Zaś Dragan oznajmił, iż represje wobec kapłanów nie zostają zniesione. Tak oto umowa, którą Dragan zawarł z Imperium przed wiecem, została dotrzymana.

Teraz, gdy polityki stało się zadość, pozostało już tylko ucztować! Biesiada była wspaniała. Trwała do samego ranka. Ucztę uświetnił występ znanych na cały świat Śpiewajłów z Shamaroth. Piwo i miód lało się strumieniami! Tury, żubry i dziki obracały na rożnach! Podawano najwykwintniejsze smakołyki sprowadzone specjalnie na tę uroczystość z najdalszych zakątków świata!

Na krótko przed rozpoczęciem uczty Imperium podpisało z Draganem jeszcze jeden pakt. Świeżo mianowany wojewoda zgodził się, by nasi agenci zajęli się wychowaniem jego dziecka. Ja, wraz z Leclerc'iem, Prim i Tuuli mieliśmy go uczyć różnych rodzajów magii, zaś Batiarus, Kalmar, Regins i Tell różnych sztuk walki. Mieliśmy jeszcze sprowadzić innych ekspertów, z całego świata, by przyszły Imperator nauczył się wszystkiego, co w przyszłości może okazać się przydatne. Dobrze zadbaliliśmy o to, by wychował się tak, jak należy.

Srebrnohora, dwa dni po Wiecu

Następnego dnia obudziłem się bardzo późno, nieprawdopodobnie skacowany, w objęciach zupełnie nieznaney mi, czerwono włosów krasnoludki. Znajdowałem się na wzgórzu, z którego rozpościerał się widok na fortalicję. Nie budząc krasnoludki, przemknąłem do swojego namiotu. Cała fortalicja powoli budziła się po biesiadzie...

Mój namiot pozostał na szczęście w dobrym stanie. Przy łóżku odkryłem flakonik z dziwną miksturą. Tekst na przypiętej do flakonika kartce głosił:

„Ów eliksir nazywa się Epistemium. Dzięki informacjom od Witalidesa udało mi się opracować jego recepturę, zaś strzygownica znaleziona w kryjówce renegatów okazała się być kluczowym składnikiem. Jest to lekarstwo na panującą tutaj zarazę. Wybacz, że się nie pożegnałem – musiałem czym prędzej ruszyć w świat, by sprowadzić na te ziemie więcej składników, na masową produkcję. Wypij, i powracaj do zdrowych!

Reshi”

Lekarstwo rzeczywiście podziałało – już kilka godzin po wypiciu zawartości flakonika fioletowe paznokcie znikły, a kaszel przeszedł!

Opuściwszy po cichu swój namiot, zastałem Batiarusa zawzięcie dyskutującego z magiem wody Erim. Na mój widok Batiar przerwał dyskusję, podszedł do mnie i oznajmił, iż nasz oddział musi niezwłocznie ruszać do Karantani, wraz ze świtą Dragana i Samboi.

Nie zostało nam wiele czasu, jako że świeżo mianowany wojewoda już siedział na koniu. Pożegnałem się z całą fortalicją: całą XXII, wszystkimi teralami, magami, cywilami...

I ruszyłem ku swej nowej przyszłości, u boku Dragana, pod komendą Imperium.

Tak więc zakończyła się moja przygoda w fortalicji Srebrnohora.

W przeciągu kilku dni w Terali pojawiły się lekarstwa Reshiego. Dzięki nim epidemia zakończyła się w przeciągu kilku następnych tygodni. Zniesiono kwarantannę, a Terala rozpoczęła mobilizację wojsk. Już w ciągu paru miesięcy miała rozpocząć się otwarta wojna z Samnią...

XXII kohorta kondotierska burego tymenu udała się na południe. Książę Olaf również szykował wojska do wojny na południu, przeciw Nowej Styrii.

Fortaliczne moczymordy: hobbit Kenny oraz Teral Sander Malet, wraz z kilkoma innymi mieszkańcami fortalicji, zorganizowali wyprawę do Velidy, gdzie mimo wielu złych legend, postanowili się osiedlić. Ich ambicje sięgały wysoko: ruszając w podróż do tej opuszczonej i spustoszonej krainy mówili wręcz o własnym ksiąstewku! (które to miałyby rozwijać się pod protektoratem Małego Ofiru bądź Itharos)

Krótkie dochodzenie przeprowadzone po zaślubinach ujawniło, iż za zaklęciem rzuconym na dziecko Samboi stała żona zamordowanego maharadży, która od samego początku współpracowała z Mojmirem. O ile list gończy ogłoszony w Terali zapewne nie mógł jej zaszkodzić, o tyle potężna oblawa zorganizowana przez Imperium (pragnącym wszak jak najlepszej współpracy z Draganem) oraz Samboję stała się jej zgubą...

Wojewoda Dragan nie zaprzestał represji wobec kapłanów. Jego dwór szybko wypełnili agenci Imperium, którzy zajęli się prowadzeniem administracji Terali oraz wychowywaniem jego dziecka. Potencjalnego przyszłego Imperatora.

Sam zaś zostałem Twoim oficjalnym nauczycielem. Dzięki wysokiej pozycji, którą zdobyłem niespodziewanie, niemal z dnia na dzień, na dworze w Karantanii mogłem nareszcie rozpocząć walkę o wyrównanie rachunków z rektorem Podkoliesinem. Odzyskałem dobre imię, wpływy i dobytek. Osiadłem. Wędrujący po świecie mag-banita, agent Imperium, Owizor Rożenek stał się kochającym „wujkiem Oscypkiem” (choć wciąż aktywnie działałem w Imperium i nieraz otrzymuję różne zadania, również w terenie)

Za co z całego serca Ci dziękuję, kochany Ziemowicie... Kochany Imperatorze.

Jednakże jakkolwiek wielkie rzeczy nie miałyby się wydarzyć w przyszłości, nigdy nie zapomnę tych kilku dni w fortalicy Srebnohora, pod komendą auxillion Ingeboran. Nigdy nie zapomnę tych, którzy tam służyli. Którzy działali dla Imperium, którzy walczyli o Terałę, o chwałę... a przede wszystkim o tych, którzy bohatersko oddali swe życie, walcząc za sprawę, i za nas wszystkich!

SŁAWA BOHATEROM TERALI!!!

CZEŚĆ III

Październik 895 roku okazał się być zaskakującym miesiącem. Wtedy to doszło do ponownego spotkania niegdyś walczących ramie w ramię mieszkańców fortalicji Srebrnohora.

A stało się to za sprawą Aramediconu.

Ów tajemniczy naszyjnik owiany był wieloma legendami. Większość badań na jego temat dowiodła, iż ów przedmiot rzeczywiście istnieje, znajduje się gdzieś ukryty we wschodniej Terali oraz posiada zdolność wzmacniania, bądź niszczenia więzi magicznych.

Jak to się stało, iż ów zaginiony magiczny artefakt został namierzony właśnie wtedy...? Do dziś nie do końca wiadomo. Pewnym jest, iż w pierwszych dniach września 895 roku niewielka grupka chłopów z okolic Pohrynia udała się na polowanie w głąb okolicznych lasów. Uganiając się za jakimś łosiem, jeleniem, faunem, czy bogowie wiedzą czym, trafili przypadkiem na polanę, na której zastali... Coś.

Owo „coś”, przedstawiło im się jako „strażnik Aramediconu”. Oczywiście słysząc od niego sakramentalne „nie przejdziecie!” chłopci czym prędzej zawrócili. Gdy już, po łącie imponującym biegu, powrócili do swej wioski, zanim jeszcze rozeszli się do swych domów, przysięgli sobie nawzajem, iż żaden z nich nie piśnie o leśnym odkryciu ani słowa, nawet swoim najbliższymi.

Oczywiście, jak to zawsze bywa w takich przypadkach, już w ciągu kilku tygodni o odkryciu położenia Aramediconu wiedziały wywiady wszystkich okolicznych mocarstw.

Jako pierwsi o wszystkim dowiedzieli się Wergundowie.

W owym czasie wszystkie wergundzkiej oddziały wycofujące się z Terali zmierzały w kierunku twierdzy Merrinhold, położonej na jednej z przełęczy w górach Maegros. To do jej komendanta dotarł pierwszy meldunek o „dziwnych plotkach, krążących wśród pohryńskich chłopów”. Przeworny komendant, odczytawszy wiadomość, podjął decyzję o przesłaniu jej wyższym instancjom. Opisany w meldunku artefakt z pewnością byłby przydatny w nadciągającej wojnie ze Styrią. Sam zaś, pragnąc jak najszybciej zabezpieczyć okolice potencjalnego miejsca ukrycia artefaktu, rozkazał dwóm oddziałom udać się w tamten rejon.

Firhorn był niewielką grupką wysoce wyspecjalizowanych agentów. Miał on za zadanie przeprowadzić wywiad i zebrać możliwie jak najwięcej informacji. Teren zaś miała zabezpieczyć, zmierzająca jeszcze ku twierdzy, XXII kohorta kondotierska burego tymenu.

Oddział auxillion Ingeboran, choć potężnie przetrzebiony po niedawnej rebelii palatyna Mojmira, wykonał rozkaz i powrócił na ledwo co opuszczoną fortalicję w Srebrnohorze.

Ale nie w komplecie...

W momencie ogłoszenia rozkazu, z oddziału uciekła świeżo mianowana naczelną medyczka. Aine, ta sama, która niespełna dwa miesiące wcześniej prowadziła zarażonych mieszkańców fortalicji do Witalidesa i która omal nie zginęła podczas obrony palisady! Pognała ona galopem do dowództwa Styryjskiego wywiadu, uprzednio kradnąc Ingeboran wszystkie dokumenty i rozkazy (a nawet klucz do wergundzkich szyfrów!), które posiadała XXII.

W wyniku tej dywersji przez kilka następných dni kohorta kondotierska musiała na własną rękę rozszyfrowywać rozkazy, otrzymywane od komendanta Merrinhold... a później nawet od samego księcia-protektora Olafa!

Dzięki doskonale przeprowadzonej akcji szpiegowskiej Aine, wywiad Nowej Styrii błyskawicznie dowiedział się wszystkiego na temat Aramediconu. Do Terali wysłany został elitarny oddział szpiegów, pod dowództwem ulundo zwanego Tahatem.

Otrzymałszy meldunki z Merrinhold oraz dowiedziawszy się o ruchach Styryjczyków, Olaf nakazał ponadto niezwłocznie wysłać do wschodniej Terali swój elitarny oddział paladynów Modwita. Akillos – bo tak zwał się ów oddział – dowodzony był przez fanatycznego paladyna zwanego Godrykiem. Choć Akillos znane było przede wszystkim jako oddział do szybkich i brutalnych akcji desantowych, tym razem otrzymało wyraźne rozkazy pozostania dyskretnym oraz niewykrytym...

Niezależnie od któregośkolwiek wywiadu, o Aramediconie dowiedziała się również Samboja. Żona wojewody Dragana miała bardzo istotny powód, by zdobyć Aramedicon: jej dziecko było kontrolowane magicznie przez pethabańską maharanię. Artefakt byłby w stanie uwolnić jej malutkiego Ziemowita spod wpływu zaklęcia. Zatem Samboja, wbrew woli męża, zebrała pod sobą grupkę najwierniejszych kniaziów i witeziów, a następnie, korzystając z zamieszania związanego z szykowaną przez męża wyprawą na Samnię, wyruszyła w stronę Pohrynia. Dotarła na miejsce niemalże równoległe z XXII kohortą.

Choć przygotowania do wyjazdu Samboi odbywały się w zupełnej tajemnicy, nie umknęły one czujnym oczom Symeona oraz Eriego. Ci zasłużeni oraz wielce zaprzyjaźnieni ze sobą magowie momentalnie pobiegli do swoich potężnych mecenasów z donosem.

Symeon skontaktował się z samą maharanią. Dokładnie tą, która dwa miesiące wcześniej spętała dziecko Samboi magicznymi więzami! Jak się okazało, choć odprawiła ona potężny rytuał, nie potrafiła osiągnąć pełni kontroli nad dzieckiem. Do pełni szczęścia potrzebowała właśnie jakiegoś wzmocnienia więzi. Wzmocnienia, które mógłby zapewnić Aramedicon...

Eri przesłał zaś wiadomość o artefakcie Radzie Castorów. Dowództwu Imperium zależało na jak najszybszym zdobyciu Aramediconu, w celu uwolnienia syna Samboi spod wpływu maharani. Dziecko to miało bowiem być, według wielu przepowiedni, potencjalnym Imperatorem – poszukiwanym przez Imperium „pogromcą bogów”.

Otrzymałszy meldunek Eriego, Castorzy postanowili zlecić zadanie odnalezienia Aramediconu jednemu z najbardziej doświadczonych agentów organizacji. Terałski książę zagrodowy Izbor był jednym z agentów Imperium infiltrujących dwór wojewody Dragana. Formując oddział poszukiwawczy, zwrócił się do przebywających w Karantanii agentów, którzy niegdyś działali już w tamym terenie: do grupy dywersyjnej Batiarusa Astoriiego.

Oddział Imperium, który wyruszył z grodu Karanawiców składał się więc z mych przyjaciół. Na czele stał co prawda przybyły z zewnątrz Izbor, lecz jego osobistym zastępcą i doradcą mianowany został Batiar. Zaraz po nim największe kompetencje posiadał mój dawny mentor, mag Leclerc. Poza nimi w oddziale znaleźli się również druidka Prim oraz poszukiwacz skarbów Tell. Nową twarzą w oddziale była zaś Słyszająca Skałę Adrielen Kaivanto, zwana przez przyjaciół Ril. Była to krasnoludzka najemna magiczka, którą poznałem podczas zaślubin Dragana z Samboją, i którą wprowadziłem w szeregi Imperium kilka tygodni potem.

Co ciekawe, wyruszający oddział Imperium otrzymał błogosławieństwo oraz wszelkie przydatne papiery, glejty i nakazy od samego wojewody Dragana! Przywódca zjednoczonych wojsk Teraleskich, od czasów rebelii Mojmira, pozostawał wiernym sprzymierzeńcem Imperium. I sam również dowiedział się od Castorów o artefakcie. Zatem Imperialiści, wyruszając na wyprawę, posiadali również oficjalne rozkazy od wojewody... będące dokładną kopią rozkazów Castorów.

Przyjęty niedawno do naszej organizacji mag wody Eri wyruszył zaś nie z resztą oddziału, lecz wraz z Symeonem, który to odpowiedział na wezwanie maharani.

Ja sam pozostałem na dworze w Karantanii – wraz z Tuuli, Kalmarem, Reginsem i Dottir zajmowaliśmy się opieką nad Ziemowitem. Zarówno z rozkazu Dragana jak i Castorów, mieliśmy dbać o wychowanie oraz wykształcenie dziecka.

Tak więc na poszukiwania Aramediconu wyruszyło łącznie siedem grup:

Zawrócona z drogi ku Merrinhold XXII kohorta kondotierska Burego Tymenu pod komendą auxillion Ingeboran z Ploc Ark'hant. Miała ona za zadanie zabezpieczyć okolice i odwiedzić Aramedicon komendantowi posterunku w Merrinhold.

Małutka grupka wergundzkich szpiegów „Firhorn” również przybyła na miejsce, lecz ograniczała się do zdobywania informacji.

Elitarny oddział paladynów „Akillos” również poszukiwał Aramediconu na rzecz Wergundii, jednakże w przeciwieństwie do XXII miał rozkaz dostarczyć go osobiście księciu Ołafowi. Zaś w przypadku niepowodzenia misji, oddział miał zaś zabić kontrolowanego przez artefakt, małego Ziemowita. Dowodzący oddziałem Godryk nakazał swoim ludziom działać potajemnie.

Oddział Styryjskich szpiegów pod komendą Tahata pragnął zaś przekazać Aramedicon księciu Sefhresowi. W jego rękach ów artefakt mógłby zapewnić Styrii olbrzymią przewagę w nadciągającej wojnie z Wergundią...

Maharani, zebrawszy zaufanych magów, również ruszyła na poszukiwania Aramediconu. By móc bezpiecznie działać na terenie Terali, pozostawała incognito, przebrana za poszukującą pozostałości po Mojmirze demonolożkę... Aramediconu potrzebowała zaś, by móc przejąć całkowitą kontrolę nad raczkującym Imperatorkiem.

Największym zagrożeniem dla maharani była Samboja. Wraz z grupką najbardziej oddanych terali wyruszyła zdobyć Aramedicon, by uwolnić swego syna spod jej klątwy.

Ostatnią grupą poszukującą Aramediconu był oddział Imperium pod wodzą Izbora. Podobnie jak Samboja, Imperialiści pragnęli użyć artefaktu do uwolnienia Ziemowita spod klątwy maharani. Jednakże w przeciwieństwie do niej, zamierzali oni później zachować Aramedicon, by móc wykorzystywać go dla własnych celów...

Jako że ja sam podczas poszukiwań Aramediconu upijałem się na dworze w Karantanii, znam jedynie ogólny zarys wydarzeń, które miały wówczas miejsce.

W momencie gdy wszystkie grupy dotarły (niemal jednocześnie) w okolice Pohrynia, wydarzyło się coś nieoczekiwanego... Przyzwany ongiś przez Dziebora demon Grimm powrócił do naszego świata, sprawiając przy okazji, że wszystkie istoty w okolicy trafiły do swego rodzaju „równoległego wymiaru”!

Ciężko wytłumaczyć laikom nieobeznanym w kwestiach magicznych, jak właściwie to działa... Maksymalnie upraszczając, można przyjąć, iż wszyscy poszukiwacze Aramediconu trafili do świata, który jest niemalże idealnym odzwierciedleniem naszego: wszelkie góry, rzeki, miasta znajdowały się tam gdzie trzeba. Jednakże wszystko wyglądało i zachowywało się odrobinę inaczej. Drzewa poruszały się, jakby targane huraganowym wiatrem, magia zawodziła, zaś w okolicy roiło się od dziwnych stworów. Owe stwory można (również przyjmując duże uproszczenie) uznać za wytwory wyobraźni Grimma, które w owym świecie przyjęły fizyczne formy.

Każda kolejna podróżująca po świecie Grimma grupa trafiała na owe dziwaczne stwory. Zaś każda kolejna napotkana istota stopniowo dawała do zrozumienia każdej z grup, iż znajdują się w równoległym świecie.

Wędrujący spokojnie Imperialiści zostali napadnięci nieoczekiwanie przez niejakiego Stasia. Ów groteskowy stwór o niewyobrażalnie długich paznokciach omal nie doprowadził do zawału Izbor! Na szczęście szybko został pokonany. Po poskromieniu Staś oddał oddziałowi Izbor... fragment rozbitej filiżanki. Nikt nie miał pojęcia, do czego by to miało służyć.

Zdumienie Imperium urosło jeszcze bardziej, gdy krótko potem na swej drodze spotkali grupkę magów eskortujących demonolożkę. Na szczęście, przez wzgląd na swą profesję, byli oni o wiele lepiej zorientowani w sytuacji w której się znaleźli... I posiadali inny fragment rozbitej filiżanki...

Tymczasem XXII spotkała na swej drodze... Styryjczyków. Ku wielkiemu zdumieniu Ingeboran, słudzy Tavar na widok kohorty kondotierskiej poupadali na kolana i zaczęli prosić o pomoc w powrocie do domu! Przez wzgląd na okoliczności oraz namowy medyczki Powój (od czasu dezercji Aine będącej naczelną medyczką kohorty) auxillion postanowiła nawiązać z nimi współpracę. Notabene Styryjczycy skutecznie wmówili oddziałowi Ingeboran, iż przybyli tutaj za sprawą portalu sahdaka... krasnoludzka wojowniczką bardzo szybko uwierzyła w tę bajkę.

Połączone grupy XXII oraz Styrii musiały się uporać z tajemniczym krawcem, który koniecznie chciał poobcinać palce magowi ognia Divakarowi, ale ostatecznie został przekupiony za pomocą kabanosów, oraz z przerażającą dziewczynką, poszukującą swych urwanych rączek... Oba demony w podzięce oddały obu grupom... elementy rozbitej filiżanki.

Natomiast Akillos natknął się na grupę Samboi. Ci również spotkali na swej drodze dwa dziwaczne stworzenia, mieniące się „Tępyim Człowiekiem” oraz „Złym Człowiekiem”. I obie grupy otrzymały od obu potworów po elemencie strzaskanej filiżanki.

Praktycznie całe popołudnie wszystkie grupy błądziły po lesie, natykając się na dziwaczne istoty świata Grimma oraz zbierając elementy dziwnej, potrzaskanej filiżanki.

Ów świat był równoległy do naszego, co oznaczało, iż wszystkie obiekty geograficzne znajdowały się mniej-więcej tam, gdzie powinny. Zatem wraz z nadchodzącą nocą każda kolejna grupa zdecydowała się udać do leżącej nieopodal fortalicji Srebrnohora. Zwłaszcza że lokalne stwory ostrzegały, o niebezpieczeństwach nocy...

Mimo ataków coraz straszliwszych istot, zwanych dybukami, wszyscy zdołali w końcu dotrzeć do zbawiennej palisady. Pierwsi na miejsce dotarli Terale Samboi oraz udający zupełnie zwyczajnych kapłanów oddział Akillos. Kolejni zaś przyszli Styryjczycy, prowadzeni przez XXII.

Długo trwały powitania i uściski – wszak Terale i najemnicy Ingeboran jeszcze kilka miesięcy wcześniej walczyli ramię w ramię przeciw mutantom Mojmira!

Przyjacielskie rozmowy przy kuflach fortalicznej karczmy przerwały w pewnym momencie dzięki wrzaski Terała zwanego Mirkiem. Jak się okazało, fortalicję zaczęły napadać już nie tylko cielesne dybuki, ale też niematerialne widma. Owe upiory bez problemu przenikały palisadę. Próbowaly one przekazać jakąś dziwną wiadomość, jednakże nikt nie był w stanie ich zrozumieć. Cała fortalicja przyglądała się dziwnym gościom z wejścia do karczmy, podczas gdy przerażony Mirko biegał po palisadzie i wrzeszczał ze strachu. W końcu gdy nie wytrzymał napięcia i zemdłał, kapłani Akillosa podjęli jakieś działania. Nie przejmując się faktem, iż duchy próbowały przekazać jakąś wiadomość, poszczuli je egzorcyzmami. Wyjąc boleśnie, widma zmuszone zostały do ucieczki.

A gdy tylko się ulotniły, do fortalicji dotarły ostatnie dwie grupy: Imperium oraz magowie. Doszli na miejsce tak późno, gdyż Izbor pomylił odrobinę dorgi...

Po wylewnych powitaniach, rozpoczęto narady. Każda grupa miała niepełne informacje co do sytuacji, które jednak zestawione ze sobą, dawały już pełny obraz sytuacji.

Jak się okazało, każda z grup posiadała część składników niezbędnych do rytuału wyjścia ze świata Grimma. Co ciekawe, owe składniki były właśnie elementami rozbitej filizanki! Szczęśliwie dla wszystkich, udało się skompletować całą filizankę. Magowie szybko w oparciu o słowa napotykaných istot, opracowali rytuał, który pozwoliłby wszystkim zgromadzoným uciec z tego wymiaru. Przeprowadzenie go zaplanowano na samo południe następnego dnia.

O ile aż do momentu wydostania się ze świata Grimma konieczna była współpraca wszystkich grup, o tyle po trafieniu do prawdziwego świata, każda była już zdana tylko na siebie. Wszyscy przebywający w fortalicji byli tego świadomi. Więc całą noc spędzono na spiskach i intrygach...

Oczywiście żadna z grup nie afiszowała się faktem poszukiwania Aramediconu. Maharani udawała eskortowaną przez magów demonolożkę, polującą na mutanty Mojmira. Styryjczycy udawali zagubionych chłopów. XXII oraz Terale mieli dość oczywistą przykrywkę opiekiowania się Srebrnohorą (choć Samboja nie ukrywała przed nikim faktu poszukiwania artefaktu). Natomiast Imperium i kapłani otwarcie ogłosili, że na siebie nawzajem polują... ale przez wzgląd na okoliczności, mają tymczasowe zawieszenie broni.

Jednocześnie każda grupa słusznie podejrzewała, że pozostałe ukrywają swoje prawdziwe zamiary. Najwięcej podejrzeń wzbudzał Akillos. Ów oddział paladynów nie był przygotowany do akcji wywiadowczych, więc już po bardzo krótkim czasie wszyscy byli niemal pewni, iż pod ich habitami kryje się jakaś tajna misja... Wszyscy byli przekonani, że to Godryk, jest agentem Styrii, a nie sami Styryjczycy!

Co ciekawe, ów paladyn Modwita nie podjął współpracy ze swoją (zdawać by się mogło) naturalną sojuszniczką, jaką była Ingeboran. Nawet przed nią starał się zachować przykrywkę. A czynił tak z trzech powodów; Przede wszystkim za wszelką cenę pragnął zgodnie z rozkazem pozostać w konspiracji. Po drugie, posiadał doniesienia, iż wierność komendanta Merrinhold (pod którym wszak służyła Ingeboran) wobec księcia Olafa była wielce wątpliwa. A po trzecie, nigdy nie wiadomo było, czy w XXII nie działał jakiś szpieg...

Sama Ingeboran nieufnie odnosiła się nie tylko do Godryka, ale też do Imperium, które rzekomo poszukiwało kapłanów podburzających lud przeciw Draganowi. Agenci Izborza posiadali co prawda oficjalne papiery od samego wojewody, jednakże nikt w pełni im nie ufał. Ingeboran nakazała swojej medycce Powój wy badać ich prawdziwe intencje. Jak się bowiem okazało, Powój oraz Ril znały się już wcześniej i były przyjaciółkami... Niestety pani auxillion nie mogła wiedzieć, że Powój była już szpiegiem innej grupy – Styryjczyków (trzeba przyznać, iż XXII nie miała szczęścia do swoich naczelnych medyczek... jak dotąd absolutnie każda okazywała się być styryjskim szpiegiem!).

Powój meldowała więc dokładnie styryjskim agentom zarówno poczynania Ingeboran jak i Imperium. Przekazała nawet Tahatowi dokładne kopie wszystkich dokumentów Ingeboran! Dzięki nim styryjscy agenci dowiedzieli się o obecności Firhornu (choć nie byli pewni co do jego celów – Tahat był przekonany, że jest to oddział Styryjski) oraz o prawdziwych celach XXII kohorty.

Samo Imperium również miało na swych usługach szpiega. Mag wody Eri przy pierwszej sposobności zdradził swoim ludziom, iż demonolożka z którą podróżuje jest w rzeczywistości poszukiwaną zarówno przez Samboję jak i Imperium maharanią.

Pierwszy przeciek pociągnął za sobą następne. Szpiegujący magów Eri wydał Imperium tożsamość maharani. Zaś jakiś czas później szpiegująca Imperium Powój doniosła o tym zarówno Ingeboran jak i Styryjczykom.

Terale również nie próżnowali. Samboja, zagorzała przeciwniczka Imperium lecz zarazem wierna żona skrajnie pro-Imperialnego Dragana, postanowiła donieść kapłanom Akillosa o tożsamości i celach oddziału Izborza. Godryk jednak nie przejął się zanadto tą sprawą. Miał na głowie ważniejsze sprawy. Ponadto nie chciał zadzierać z ludźmi działającymi na zlecenie samego wojewody!

W całej tej szpiegowskiej grze niebagatelne znaczenie miała sama Samboja. Wszak każda grupa pragnęła mieć za sobą wsparcie jej terali, będących najznacniejszą siłą w fortalicji.

Imperium jako pierwsze postarało się o przychylność żony Dragana. Pokazawszy jej papiery oraz pieczęcie od jej męża, Imperialiści od razu zapewnili sobie jej (niechętne, ale jednak) wsparcie.

Jednakże o względy jej ludzi zabiegała również Ingeboran. Zdobyć wsparcia Samboi było wielkim logistycznym wyzwaniem. Wszak matka, która boi się o dziecko, jest osobą całkowicie nieprzekupną i nieprzekonywalną! Auxillion postanowiła więc przekabacić jej drużynę. Zaczęła wmawiać służącym jej kniaziom i witezom, iż maharani szantażuje Samboję, aby ta oddała właśnie jej artefakt... pod groźbą zabicia jej dziecka.

Ponadto XXII błyskawicznie przygotowała sfałszowane rozkazy z podpisem Dragana. Sreprezentowano je wszystkim teralom kłamiąc, iż to właśnie wojewoda kazał wydobyć Aramedicon kohorcie, zaś Samboja działała wbrew woli męża.

Udało się to o tyle, iż wśród terali zapanował zamęt i Samboja musiała zareagować. Zrobiła to zupełnie inaczej niż kapłan Modwita: wyłożyła karty na stół. Wytłumaczyła wszystkim, iż potrzebuje Aramediconu by znieść kłatwę ciężącą na jej dziecku.

Wraz z wyjaśnieniem całej sytuacji, intryga auxillion wyszła na jaw. Napięcie na linii Samboja-Ingeboran zaczęło rosnać... I zapewne cała kohorta kondotierska zostałaby wygnana z fortalicji na pastwę dybuków i widm, gdyby nie fakt, iż właśnie wtedy padł donos Powój na temat obecności maharani w obozie.

To był prawdziwy as w rękawie dla auxillion! zaproponowała ona Samboi, iż da jej maharanię na tacy z kokardką, w zamian za pomoc w zdobyciu (niepotrzebnego już dla pani terali) Aramediconu.

Tak więc terale Samboi mieli o świecie zawarte przymierze tak z Imperium, jak i z XXII. Tymczasem Styryjski wywiad wiedział o wszystkim, lecz nie podejmował żadnych działań, zaś kapłanom nikt nie ufał. Natomiast grupa maharani (nie licząc Eriego) pozostawała zupełnie nieświadoma nadciągającej zagłady. Jedyny powód, dla którego magowie nie zostali wybici jeszcze przed świtem był taki, iż jedynie z ich pomocą możliwa była ucieczka ze świata Grimma. Oraz ponieważ Ingeboran pragnęła mimo wszystko zachować atut, jakim była tożsamość maharani, w tajemnicy przed Samboją aż do ostatniej chwili...

O świecie wszyscy rozpoczęli przygotowania do podróży w stronę dawnej świątyni Morta, gdzie według słów napotkanych istot (popartych późniejszymi wyliczeniami magów) należało odprawić rytuał przejścia z powrotem do naszego świata. Istotę artefaktu potwierdziło jeszcze badanie „wodą Wessiego” – eliksirem, wyjawiającym prawdę na temat natury różnych przedmiotów.

Przed wyjściem do fortalicji zapukał pochodzący z Samni goniec, który również został przypadkiem „złapany” do świata Grimma. Nie chciał on zdradzić swojej tożsamości ani celu podróży. Co oczywiście zaalarmowało całą fortalicję. Wszyscy zaczęli próbować wyciągnąć, jakież to był kierunek podróży owego zagubionego gońca. Niektórzy wyciągali te informacje nawet dosłownie...

Leclerc podjął próbę wyciągnięcia z torby gońca przetrzymywanych w niej listów za pomocą lewitacji. Nie na wiele się to zdało, gdyż goniec wyczuł ruch papierów i zaatakował starego maga.

Na szczęście sytuacja została szybko załagodzona i już po paru chwilach udobruchany goniec pił razem z Teralem Gniewomirem... by po opróżnieniu kufla utracić przytomność. Wtedy w końcu wszystkie grupy mogły przejrzeć dokumenty gońca.

Jak się okazało, był on wysłannikiem Ligii Kupieckiej, zbierającym jakieś tajemnicze „minerały”... Czy chodziło o Proszek z Pethabanu? Zapewne... Krótco po przekopowaniu przez Terali oraz Symeona listów gońca, ów się obudził i opuścił czym prędzej fortalicję.

Przed samym wyjściem fortalicja miała jeszcze jednego gońca, na widok którego wszystkim opadły szczęki... Nikt nie mógł uwierzyć, gdy pod bramą zjawił się sam wojewoda Dragan!

Sama obecność kniazia to jeszcze picuś w porównaniu z jego reakcjami na widok Imperialistów, Samboi czy Ingeboran! Wojewoda nie rozpoznał ani sprzymierzonych agentów, ani własnej żony, ani bohaterskiej auxillion! Dziwna była również jego reakcja na mianowanie go wojewodą oraz na pytania skąd się tu znalazł. Sam zresztą wyglądał dziwnie... jakby młodziej...

W końcu po kilku minutach wywiadu poszukiwacze Aramediconu zrozumieli, że mają do czynienia nie z prawdziwym wojewodą, lecz z projekcją jego o dziesięć lat młodszego obrazu, wytworzonego przez ten świat.

Tak więc można już było na spokojnie wyruszyć na rytuał... Z powodu dziwnych gości, nie zostało już wiele czasu – wszyscy pobiegli na miejsce żwawym truchtem.

Grimm nie chciał wypuścić swoich zdobywczy. Poszukiwacze Aramediconu musieli przedzierać się przez całe zastępy dybuków i innych dziwacznych stworów. Nawet gdy wszyscy byli już na miejscu rytuału, ataki nie ustawały. W pewnym momencie nawet sam demon ukazał się na drodze do świątyni!

Na szczęście magowie spisali się znakomicie. Odprawili wszelkie rytuały z niesamowitą szybkością i precyzją. Zaś dzięki bohaterskiej walce „niemagicznych”, żadna wroga istota nie zakłóciła żmudnego procesu...

W końcu, dokładnie w samo południe, bariera pękła. W jednej sekundzie wszystkie upiory świata Grimma ulotniły się. Na miejscu rytuału zapanowała cisza...

...a gdy tylko upewniono się, iż wszyscy powrócili do realnego świata, rozpętał się chaos.

Ułamek sekundy po tym, jak magowie potwierdzili, iż wszyscy znajdują się znów w naszym świecie, Ingeboran wydała swoim ludziom rozkaz do ataku. Dmuchnęła Symeonowi w twarz usypiającym proszkiem przygotowanym przez Powój, unieszkodliwiając go na miejscu. Reszta jej żołnierzy rzuciła się na pozostałych magów. Maharani próbowała uciec. I udałoby się jej to, gdyby nie Samboja. Wiedzioną intuicją, rzuciła się ona na pethabankę z dobytym sztyletem.

Podczas gdy Terale i Wergundzcy najemnicy atakowali magów, Styryjczycy oraz Imperialiści, postanowili wziąć nogi za pas. Spodziewali się ataku na magów, lecz nikt nie przewidział szybkości i brutalności XXII. Zaraz potem w ślad za uciekinierami pognął Akillos. Wszak paladyni nie byli zainteresowani sprawą maharani w takim stopniu, jak odnalezieniem artefaktu.

W przeciągu kilku sekund po powrocie do naszego świata wszyscy magowie leżeli już spętani przez XXII. Samboja, w dzikim szale zadawszy przeszło trzydzieści ciosów, ostatecznie uznała, iż zniewalająca jej dziecko maharani jest martwa. Tymczasem Styryjczycy i kapłani pędzili na złamanie karku w stronę Żywiaty – polanie, na której rzekomo znajdował się Aramedicon.

W przeciwieństwie do nich, Imperium zdecydowało się działać ostrożnie. Uratowawszy Eriego z rąk Ingeboran, ruszyli nie prosto na Żywiątę, lecz przez Pohryń. Zależało im na zmyleniu ewentualnego pościgu, a ponadto pragnęli dokładniej zaplanować kolejny ruch...

Tymczasem Akillos oraz agenci Tahata pędzili ile tylko sił w nogach ku Aramediconowi. Wergundzcy paladyni w końcu mogli wykorzystać przewagę, jaką dały im lata rygorystycznych, świątynnych szkoleń. Dobięgli na miejsce jako pierwsi...

...i niczym fala rozbili się o Strażnika artefaktu. Tajemnicza istota, którą kilka tygodni wcześniej spotkali pohryńscy chłopcy rzeczywiście istniała. I była potężna.

Na nic zdała się kapłańska magia, Strażnika nie dało się pokonać. W krótkim czasie wszyscy paladyni leżeli poobijani na środku drogi. Szczęśliwie dla nich, strażnik nie przelewał krwi w „świętym miejscu”, więc ograniczał się do rozbijania i objania.

I gdy wszyscy leżeli już poobijani, na polanę nadciągnęli Styryjczycy. Na widok poległych kapłanów zdumieli się niemało. Ich zdumienie urosło jeszcze bardziej w chwili, gdy ich oczom ukazały się obłoki fioletowego dymu, unoszące się znad niedalekiego krzaka.

To oddział Ingeboran, przekazawszy swych jeńców Teralom, pognął w ślad za kapłanami w stronę Aramediconu. Zauważywszy rozbitych paladynów oraz Styryjczyków stojących w szyku bojowym, wergundzcy najemnicy od razu uznali, iż doszło do ataku wojowników Tahata na kapłanów.

Fioletowy dym był zaś wykorzystanym przez nich darem od oddziału Firhorn. Ingeboran posłużyła się nim, by nadać sygnał z prośbą o pomoc przebywającym w okolicy wergundzkim szpiegom.

Firhorn był drugim oddziałem wysłanym przez komendanta Merrinhold, który miał przybyć do fortalicji. Co prawda składał się wyłącznie ze szpiegów i nie miał znacznej siły bojowej, lecz Ingeboran zależało na jakiegokolwiek przewadze liczebnej.

Nie mogła wiedzieć, iż podczas gdy XXII przebywała w równoległym wymiarze, ów oddział wpadł w nieliczne tarapaty związane z okolicznymi bandytami i fałszywymi koordynatami od wtyczek Imperium... Oddział był podzielony, a ta mizerna część, która zdołała dotrzeć na miejsce, leżała już poobijana razem z paladynami Modwita.

Tak więc XXII była zdana na siebie, kapłani leżeli na środku drogi, Styryjczycy szykowali się do obrony przed napastnikiem zza krzaków, zaś Imperium przyglądało się całej sytuacji zza jeszcze innych krzaków.

Na szczęście dla auxillion oraz Tahata, całą sytuację załagodził Godryk. Leżąc ranny na środku drogi wykrzyczał do niej, iż za zmasakrowaniem paladynów stali nie Styryjczycy, lecz Strażnik. Ingeboran, zrozumawszy swoją pomyłkę, postanowiła nie mieszać się w sprawy Styryjczyków i nakazała swoim ludziom pozostać za krzakami (wciąż bowiem miała nadzieje na przybycie Firhornu).

Styryjczycy nie wykazali się w tym momencie zbyt trzeźwym myśleniem. Otrzymaawszy od Ingeboran obietnicę pozostawienia ich w spokoju, ruszyli ochoczo na Strażnika... by po niespełna minucie podzielić los kapłanów.

W chwili gdy ostatni Styryjczyk padł ogłuszony (jak już wspomniałem: na szczęście dla nich Strażnik nie przelewał krwi w świętym miejscu i ograniczał się do ogłuszania), XXII w końcu zdecydowała się wyjść zza krzaków. W tym samym momencie na miejsce dotarła w końcu grupa Terali. Byli oni znacznie spowolnieni, gdyż tachali ze sobą spętanych magów.

Postanowiono przegrupować się i wspólnie zaatakować Strażnika. Wszyscy paladyni zostali w dość krótkim czasie postawieni na nogi. Styryjczyków zaś związano i zostawiono razem z magami jako jeńców. Ingeboran, za namową Samboi, postanowiła pozostawić ich przy życiu.

Wspólny atak trzech grup przyniósł w końcu oczekiwany skutek. Potężny Strażnik Aramediconu uległ pod współpracującymi ostrzami Wergundów i Terali.

I znowu największą inicjatywę w knuciu intryg wykazała XXII. Zaraz po pokonaniu Strażnika, na miejsce leżącego za nim dziwnego kamienia położono cichaczem magiczny amulet. Był to zwykły runiczny wisiołek wysyłający kule ognia, jednakże Samboja oraz Godryk dali się zwieść zapewnieniom Ingeboran, iż to jest właśnie poszukiwany Aramedicon. Postanowili przegrupować się, podczas gdy kohorta kondotierska, zapewniwszy sobie spokój, ruszyła dalej, na spotkanie drugiego Strażnika.

Kolejny Strażnik okazał się być dziwną, niemą postacią. Ów mim zadawał XXII kolejne zagadki... których prości najemnicy nie potrafili nijak rozwiązać!

Podczas gdy wojowie Ingeboran próbowali uporać się z zagadkami Mima, Imperium postanowiło w końcu podjąć inicjatywę.

Wywołali rumor w krzakach, który zwabił Terali oraz paladynów w stronę drugiego Strażnika. Widok XXII kohorty próbującej uporać się z Mimmem uświadomił Samboi oraz Godrykowi, iż Ingeboran wcisnęła im kit.

Wywołało to nie lada zamieszanie. Kolejne kłamstwo pani auxillion przelało czarę goryczy dotychczas grzecznie współpracującej Samboi. Napięcie rosło. Już wydawać by się mogło, że Terale i Wergundzi lada moment skoczą sobie do gardeł...

Jednakże w chwili, gdy kłótnia zaczynała osiągać swe apogeum, oczom wszystkich trzech grup ukazał się szokujący widok... W miejscu, gdzie jeszcze chwilę wcześniej siedzieli spętani Styryjczycy, stała teraz wroga armia, w pełnej gotowości bojowej!

To Imperium, korzystając z chwili nieuwagi, podkrađło się do jeńców by uwolnić ich z więzów. Akcja uwalniania przebiegła błyskawicznie, jako że będąca wtyczką w XXII Powój przecinała wcześniej więzy wszystkim Styryjczykom.

Magowie maharani oraz Styryjczycy Tahata powstali i chwycili za broń. Po czym ramię w ramię z oddziałem Izbor, stanęli naprzeciwko Wergundom.

To była chwila, której nikt nawet w najśmielszych snach by się nie spodziewał! Magowie, pozbawieni swojej przywódczyni oraz poniżeni przez XXII postanowili jak jeden mąż wstąpić w szeregi Imperium! Zaś Styryjczycy, z wdzięczności za uwolnienie, ogłosili iż również będą walczyć ramię w ramię z Imperialistami, jako sojusznicy!

Izbor i Tahat podali sobie dłonie. Antyteista i ulundo. Członek organizacji zwalczającej bogów i agent państwa teokratycznego...

Wszystkie trzy połączone grupy stanęły naprzeciwko Wergundom. Mało tego – Samboja, wściekła na Ingeboran za kolejny fortel, lecz zarazem wdzięczna za jej pomoc w zabiciu maharani, zdecydowała się ogłosić neutralność! Cały oddział Terali zszedł z drogi, by móc biernie przyglądać się nadsięgającej bitwie. Owszem, dobyli oni mieczy, ale tylko po to, by żadna z walczących stron nie rzuciła się przypadkiem na nich.

Tak więc karty się odwróciły. Jeszcze kilka sekund wcześniej tryumfujące XXII oraz Akillos, znalazły się nagle w mniejszości.

Połączone siły imperialno-magiczno-styryjskie ruszyły na Wergundów. Kapłani oraz magowie z XXII i Akillosa odpowiedzieli, zalewając szarżującego wroga potężną kanonadą zaklęć.

W powietrzu rozległ się huk dziesiątek czarów, lecących nieprzerwaną falą w stronę przeciwnika. Każde jedno z tych zaklęć bez problemu zmiotłoby z ziemi cały zastęp!

Ale tym razem na nic to się nie zdało... Cała ta hucząca kanonada rozbiła się o magiczne amulety chroniące przed magią, w które szczerze zostali wyposażeni zarówno agenci Styrii jak i Imperium (notabene większość amuletów Imperium było dziełami hobbitki Prim).

Magiczny ostrzał ani trochę nie spowolnił atakujących. Szarża uderzyła z całą swoją mocą w szeregi Wergundów. Ataki były brutalne i bezwzględne. XXII desperacko próbowała zatrzymać nacierającego przeciwnika. Tymczasem kapłani, uświadomiwszy sobie, że niewiele zdziałają w walce z odpornym na ich magię przeciwnikiem, za wszelką cenę próbowali zdobyć od Mima Aramedicon.

Gdy obrona XXII zaczęła się chwiać, jeden z paladynów z Akillosa postanowił powtórzyć słynny wyczyn Ortana z rebelii Mojmira (tylko w łagodniejszej wersji, bo bez poświęcenia życia), by dać kapłanom więcej czasu: odprawił pospieszny rytuał, po którym Modwit zesłał nań wielką moc. Przekształciwszy się na krótki czas w potężną, niepokonaną postać, ruszył z rykiem na szeregi wroga...

...by zostać chwilę potem zatrzymanym przez Adrilen. Sprytna krasnoludzka magiczka za pomocą banalnie prostego zaklęcia wyczarowała głęboką dziurę w ziemi... w którą wpadł potężny paladyn Modwita! A gdy po kilku minutach ów kapłan zdołał się w końcu wygrzebać, był już z powrotem zwykłym człowieczkiem, skrajnie wyczerpanym po potężnym opętaniu!

Wraz ze zmarnowanym poświęceniem, załamała się też obrona XXII. Wergundzi, bezlitośnie atakowani przez przeciwnika, coraz bardziej się cofali. W końcu ich szeregi opuściła nawet jedyna medyczka: Powój, rzekomo ratując kogoś rannego, wybiegła w pewnym momencie przed szereg i pozwoliła się powalić zamarkowanym ciosem jednego ze Styryjczyków.

Tymczasem Terałe w zupełnym spokoju, z bezpiecznej odległości, przegryzając jagódki, przyglądali się całej bitwie... Tylko raz, gdy jakieś zbłąkane ulundo zbliżyło się z nadmierną do ich szeregów i otrzymało symbolicznego klapsa od witeziów.

W pewnym momencie Godryk dał sygnał do odwrotu. Kapłani, uświadomiwszy sobie, iż ich wysiłki na nic się nie zdają, postanowili uciec. Tymczasem Ingeboran, przekonana że Akillos zdołał zdobyć Aramedicon, rozkazała swoim ludziom osłaniać ich odwrot.

To było daremne poświęcenie. Ale piękne.

Już po niespełna minucie cała XXII kohorta kondotierska była rozgromiona. Ostatnie niedobitki uciekały po krzakach... Sam sojusz imperialno-magiczno-styryjski nie został jednak bez szwanku. W pewnym momencie Tell, Izbor oraz Styryjczyk zwany Goliatem rzucili się w pościg za służącym u wergundów krasnoludem Craigiem Lairdem, który w krytycznym momencie... okazał się być nad wyraz sprawnym magiem!

Oslaniając się potężnymi zaklęciami umknął on obławie, umknął czarom Ardilen... po czym rozbił się o niewidzialną ścianę, otaczającą polanę. Jak się okazało, znaleziony przezeń u pierwszego Strażnika dziwny artefakt uniemożliwił mu opuszczenie polany...

Ingeboran stanęła naprzeciwko Tahata. W brutalnym starciu z przywódcą Styryjczyków, utraciła prawą dłoń (nie całą – klinga miecza ulundo przesliznęła się w taki sposób, że kość pozostała nienaruszona... czego absolutnie nie można było powiedzieć o mięśniach oraz ścięgnach). Pani auxillion nie została jednak dobita. Przywódca Styryjczyków uznał, iż krasnoludzka nie stanowi już zagrożenia. Zabrano jej jedynie oręż i wszelkie dokumenty.

Pokonawszy przeciwnika, Imperium oraz Styryjczycy mogli się już na spokojnie skupić na zagadkach Mima. Poszło im to o wiele lepiej niż Wergundom, jako że w ich szeregach było znacznie więcej intelektualistów.

Jak się okazało, Strażnicy pilnowali dwóch dziwnych kamieni. Szybkie dochodzenie ujawniło, iż dzięki nim dało się otworzyć skrzynkę, w której znajdował się Aramedicon. Sam artefakt ukryty był zaś odrobinę dalej. Był co prawda strzeżony przez inny rodzaj Strażnika, ale ów już nie sprawiał kłopotów.

Zmęczeni walką Imperialiści oraz Styryjczycy nie mieli jednak ochoty walczyć między sobą o skarb. Zresztą, żadnej z grup nie zależało na nim aż tak bardzo, by z jego powodu rwać sojusze. Zarówno Styryjczykom, Imperialistom jak i Terałom (którzy po zakończeniu walk zeszli z powrotem na drogę) wystarczyło, by artefakt nie dostał się w niepowołane ręce.

Postanowiono ukryć oba kamienie, dzięki którym dało się dostać do Aramediconu. Pierwszy ukryto za pomocą druidzkiej magii w konarze potężnego dębu. Jego położenie znali Imperialiści oraz Styryjczycy. Drugą zaś połówkę ukryła Samboja, posługując się swoimi własnymi zaklęciami. Sam artefakt zaś postanowiono zostawić tam, gdzie był.

Wszystkie cztery (licząc razem z magami, którzy jednak należeli już do Imperium) zwycięskie grupy udały się do fortalicji. Powój, jakimś cudem zachowawszy przykrywkę, po uleczeniu przystała do terali, którzy zgodzili się zapewnić jej ochronę przed rzekomo pragnącymi zabić ją Styryjczykami...

Tymczasem rozbita XXII oraz Akillos szukały się po okolicznych krzakach...

W końcu po przeszło godzinie, ku nieklamanej uldze krytycznie rannej Ingeboran, nadszedł oddział Firhorn. A raczej to, co zostało z jego resztek... Oddział prowadzony przez znanego na całą Wergundię wojownika Ashada, będąc podzielonym i zagubionym, kilkakrotnie został napadnięty przez okolicznych zbójów. Niemniej połączone resztki wszystkich trzech oddziałów: XXII, Akillosa oraz Firhornu, tworzyły już całkiem przyzwoitą grupę, o sile bojowej porównywalnej z pojedynczą grupą swoich pogromców.

I tak stosunek sił pozostawał 3,5 do 1 – Imperium wzmocnione magami, w sojuszu ze Styrią oraz Terałą, przeciw niesamowicie przetrzebionym Wergundom. Symboliczne wsparcie Firhornu wystarczyło jednak, by wierni poddani Olafa ponownie podjęli działania. Działania o charakterze partyzanckim...

Wysłany na zwiad pod przebraniem gońca, Ashad powrócił z wieścią, iż oba kamienie otwierające skrzynkę z Aramediconem, ze względu na magiczną barierę, pozostały ukryte gdzieś w okolicach Żywiaty. Wergundzi rozpoczęli poszukiwania kluczy do artefaktu.

Dość szybko namierzono drzewo, w którym ukryto pierwszą połówkę. Jednakże o wiele dłużej zajęło wydobywanie go z konaru. Wergundzi nie dysponowali żadnym druidem, więc musieli użyć argumentu siły: ścięli i spalili cały kilkusetletni dąb, by w końcu wygrzebać z jego popiołów pierwszy kamień.

Jednakże drugiej połowki nijak nie udało się znaleźć. W końcu po długich godzinach bezowocnych poszukiwań postanowiono zrezygnować z przeczesywania polany i podjąć straceńczą próbę odzyskania fortalicji. Godryk proponował przemknąć się przez mury i stopniową, skrytobójczą eliminację wszystkich znajdujących się w środku. Śmierć przebywających w środku Terali (nie wyłączając Samboi) miała potem zostać zrzucona na Styryjczyków i stać się pretekstem do skłócenia obu nacji.

Ingeboran postanowiła jednak na początku działać ostrożniej i delikatniej. Wysłała zwiad, który miał wy badać nastroje panujące w fortalicji. Być może gdyby jakimś cudem udało się odzyskać wsparcie Samboi, pojawiłby się choć cień szansy zwycięstwo...

Tymczasem w fortalicji Imperium oraz Styria kolejnymi toastami pieczętowały swoją dziwną, pozornie przeczącą wszelkiej logice przyjaźń.

Gdyby się jednak przyjrzeć temu dokładniej, nie było to wcale takie nielogiczne: Styryjczycy byli dozwonnie wdzięczni Imperium za uratowanie z wergundzkich kajdan. Natomiast Imperialiści, w pełni świadomi, że ich wywrotowe idee nie mają najmniejszych szans na teokratycznym, Styryjskim

gruncie, postanowili darować sobie ideologię i skupić się na bieżącej polityce. Polityce, w której Tavar stała się niespodziewanie potężnym sprzymierzeńcem w walce z pozostałymi bogami.

O Aramedicon nikt się nie kłócił. Nawet gdyby którakolwiek ze stron próbowała ukraść swoją połówkę, nadal pozostawała druga część artefaktu, ukryta przez Samboję. Co nie przeszkadzało obu grupom w tworzeniu w ukryciu „planów awaryjnych”, na wypadek gdyby druga strona postanowiła złamać sojusz...

Ani Imperium, ani Styryjczycy nie zauważyli, że sama Samboja w pewnym momencie ulotniła się z ich biesiady, wraz ze swoją świtą. W fortalicznej karczmie pozostało jedynie dwóch witezów: Mirko i Sonja byli niedalekimi kuzynami... i wiecznie się między sobą kłócili, ku rozbawieniu wszystkich obecnych...

Samboja, jako jedna z nielicznych, pozostawała cały czas trzeźwa. Gdy ludzie z jej świty powiadomili ją potajemnie o pojawieniu się Wergundzkiego zwiadu, zdecydowała się wyjść im na spotkanie.

Zatem ku zdziwieniu pozbawionych już nadziei partyzantów, Terale odpowiedzieli pozytywnie na ich błagania. Potajemnie wyszli przed bramę fortalicji i podjęli z nimi pertraktacje! Wergundzcy dowódcy nie zmarnowali tej okazji. Po długich dyskusjach w końcu udało się im wmówić Samboi, iż Imperium spiskuje przeciw Draganowi.

Jednakże Samboja, pamiętna wszystkich podstępów Ingeboran, postanowiła do końca zachować ostrożną neutralność. Nie wpuściła Wergundów do fortalicji, pozbawiając ich możliwości zemsty na Styrii i Imperium. Jednakże w ramach zadośćuczynienia przekazała im pieczęć ze swoją krwią – klucz do rytuału, którym ukryła kamień.

Następnie zebrała swoich ludzi i czym prędzej udała się do Karantanii. Zaś Wergundzi zdobyli drugą połówkę kamieni aktywujących Aramedicon, oraz chwilę później sam amulet. Gdy tylko artefakt znalazł się w ich rękach, natychmiast, zgodnie z rozkazem, podążyli do Merrinhold.

Imperium i Styria dopiero następnego dnia rano zorientowały się, że Samboja wraz ze swoimi teralami uciekła z fortalicji. Nawet jeśli którakolwiek ze stron planowała wbić w przyszłości drugiej sztylet w plecy, teraz nie miała już powodu...

I tu niestety kończy się znana mi część historii Aramediconu. Resztki dawnej XXII, Akillosa oraz Firhornu pognały z nim na południe. Wywiad Imperium nie był w stanie ponownie namierzyć artefaktu. Zatem zagadką pozostaje, co się z nim stało. Czy trafił on w ręce Olafa? Czy może komendant fortu Merrinhold rzeczywiście zgarnął artefakt dla siebie? A może po drodze wydarzyło się coś jeszcze, coś zupełnie niespodziewanego?

Tego już nie wiemy. Nieznane pozostają losy grupki Wergundów ocalałych z tej misji. Oraz wiezionego przez nich Aramediconu.

Wiadomo natomiast, że Samboja oraz oddział Izbora powrócili po pewnym czasie do Karantanii. Obie grupy cieszyły się swoim (niepełnym, ale jednak) zwycięstwem. Ziemowit był w końcu bezpieczny! Co prawda Castorowie byli niepokieszeni utratą artefaktu, jednakże fakt wypełnienia celu pośredniego w zupełności ich satysfakcjonował. Podobnie rzecz miała się z samym Draganem – był on umiarkowanie zadowolony z wyniku wyprawy.

Wszyscy magowie służący zasztyletowanej maharani w krótkim czasie wstąpili do Imperium. Niekoniecznie z przyczyn ideologicznych – niektórzy, jak na przykład Symeon, przyjęli propozycję ze względów praktyczno-finansowych. Jak się okazało, w ferworze uwalniania jeńców, Imperium obiecało słynnemu psionikowi moje własne włości! (które jednakże po usłyszeniu mego zdecydowanego sprzeciwu, zastąpiono ich równowartością w senatusach).

Jakimś cudem wszystkim magom udało się uniknąć gniewu Samboi... Pani Terali po śmierci maharani stała się znacznie łagodniejsza i ustępliwsza. W swej radości pozwoliła nawet mężowi spacyfikować kilka najważniejszych świątyń Skogura we wschodniej Terali!

Styryjczycy powrócili natomiast po długiej i żmudnej wędrówce na ojczyźne ziemie. Nie zostali przyjęci owacyjnie, wszak ich misja zakończyła się całkowitym niepowodzeniem: artefakt wpadł w ręce potencjalnego największego wroga Pani Tavar – Olafa Wergundzkiego!

Jednak wraz z oddziałem Tahata przybył nieoczekiwany gość: grupka agentów Imperium, proszących o audiencję u „możliwie jak najwyżej postawionego styryjskiego dostojnika”. Nikt nie wie, cóż takiego Castorowie chcieli przekazać swemu teoretycznie największemu wrogowi, jednakże po wyjściu z komnat samego Sephresa zarówno Imperialiści jak i Styryjczycy mieli dziwne, złowrogie uśmiechy satysfakcji...

Otwartym pytaniem w tym temacie pozostaje: „kto kogo tutaj zmanipulował?”

Sam zaś miło spędziłem ten czas w Karantanii, opiekując się małym Ziemowitem oraz uczując wraz z tymi, którzy pozostali na dworze wojewody...

Za wszelkie przekłamania, niedopowiedzenia i przekręcenia z góry przepraszam i zastrzegam, iż wszystko co tu opisałem, jest oparte jedynie o relacje uczestników tamtych wydarzeń.

Streszczenie biografii maga ziemi Owizora herbu Rożenek.

Rożenkowie byli Ofirskimi możnymi posiadającymi włości leżące nieco na północ od Messyny. Pierwsze wzmianki na temat tego rodu pochodzą z 1000 roku p.w.e. Według legendy, pewien ówczesny ofirski kratistos został napadnięty przez bandę barbarzyńców-kanibali (zapewne pochodzących od kymerów). Kiedy już obracał się na rożnie nad ogniskiem, grupka innych przybyłych z zachodu barbarzyńców bezinteresownie przybyła mu z odsieczą. Ów, w podzięce za uratowanie życia, nadał im tytuł oraz ziemię. I stąd rzekomo wziął się ich herb (wieniec laurowy otoczony płomieniami) oraz zawołanie („skwierzysz panie!”) – gdyż według legendy, w chwili ratunku tak właśnie miał krzyknąć przywódca przybywających z odsieczą barbarzyńców do kratistosa.

Rożenkowie przez ponad 1800 lat pozostawali średniozamożnym rodem, skorym bardziej do handlu niż do wojaczki. Nie wstawili się znacząco ani podczas wojen Ofiru z Wergundia, ani

z Tavar, lecz ich chorągiew można było zobaczyć na większości ważniejszych bitew owego okresu, zawsze przeciw Nowej Styrii i Itharos.

Gdy w 875 roku najstarszy syn lorda Orlena Rożenka - Owizor - zaczął wykazywać predyspozycje magiczne, został wysłany na nauki do akademii magii ziemi w Karantanii, gdzie rektorem był przyjaciel Rożenków: mistrz Robert Lajarowicz.

Krótko po zdaniu przez Owizora finałowych egzaminów na tytuł maga ziemi (883 r.), w niejasnych okolicznościach Robert Lajarowicz zmarł. A parę dni później do Owizora przybył list z tragicznymi wieściami:

W wyniku zamieszania związanego z Sukursjami jakaś zbłąkana horda Samnijczyków napadła

i doszczętnie spaliła włości Rożenków, wyrzynając całą rodzinę (choć do dziś żywe są pogłoski mówiące, jakoby dwóch najmłodszych Rożenków: Argan i Ofelia, zdołali uciec z pogromu).

Owizor, jako dziedzic fortuny, powinien był powrócić na włości, odbudować spalony zamek

i podnieść okoliczne ziemie z ruiny. Ale ów, przytłoczony wizją ogromu obowiązków, zwlekał z wyjazdem z Karantanii. Co okazało się jego zgubą...

Parę tygodni po otrzymaniu wieści o wybiceniu Rożenków Owizor, wypiwszy za dużo w pewnej karczynie, przypadkiem wlaźł do pokoju, wynajmowanego przez pewnego (jak się później okazało) skrytobójcę. Na biurku odnalazł rachunek, z którego wynikało, iż obecny rektor akademii - Iwomir Podkoliesin – zlecił zabicie swojego poprzednika, Roberta Lajarowicza.

Z tym odkryciem Owizor podzielił się jedynie ze swoją ówczesną dziewczyną – Skierką. A ta już następnego dnia, jeszcze przed wschodem słońca, wykradła mu rachunek i pognęła z nim do Podkoliesina. Jak się okazało, miała z nim romans... (podobnie jak wiele innych młodych magiń ziemi – Podkoliesin był i jest do dziś wielkim kobieciarzem)

Ów, dowiedziawszy się od Skierki, że Owizor wie o jego zbrodni, wrobił go w potajemne studiowanie zakazanych arkanów magii, wygnał z Karantanii i obsadził włości Rożenków skrytobójcami.

I tak, od dobrych kilkunastu lat, Owizor błąka się po świecie szukając sposobu by zemścić się na Podkoliesinie i Skierce oraz by odzyskać dobre imię.

Parę spotkań z uchodźcami z dawnych włości Rożenków uświadomiło mu, że u swoich niedoszłych poddanych ma on opinię tchórza i pijaka, który nie ma dość honoru

i samozaparcia, by przejąć brzemień władzy. Wiedząc o tym, jak również w obawie przed zabójcami Podkoliesina, postanowił omijać swoje ziemie szerokim łukiem.

Pierwsze lata tułaczki Owizor spędził poszukując sojuszników u krewnych zamordowanego rektora. Niestety, jedyny pozostający przy życiu Lajarowicz okazał się być ogarniętym żądzą władzy szaleńcem.

Mag powietrza, i zarazem teralski książę, Jeremi Lajarowicz próbował za pomocą potężnego magicznego artefaktu podbić okoliczne ziemie (a w dłuższej perspektywie całą Terale). Ostatecznie dobro kraju wzięło górę nad prywatą i Owizor pomógł go pokonać.

Wszelkie inne potencjalne dowody i świadkowie zostały jednak do tego czasu skrzętnie usunięte przez Podkoliesina (bądź Skierkę, która do dziś pozostaje adoratorką rektora, mimo braku wzajemności). Tak więc wszelkie podejmowane przez Owizora próby zdobycia środków do walki z rektorem spełzły na niczym.

Rozgoryczony ciągłymi niepowodzeniami Owizor postanowił za pośrednictwem poznanego

w pewnej karczmie starego maga Glatona Leclerc'a przyłączyć do Imperium. Początkowo sceptycznie podchodził do filozofii organizacji, ale z czasem się do niej przekonał. Bardzo szybko awansował w strukturach Imperium.

W 895 roku został członkiem elitarnej grupy dywersantów, infiltrującej XXII kompanię kondotierską burego tymenu. Działając w niej, został ostatecznie mianowany osobistym wychowawcą syna kniahini Samboi.

Dzięki tej posadzie w zasadzie z dnia na dzień stał się bardzo ważną i wpływową postacią na dworze w Karantanii – tej samej, z której został kilkanaście lat wcześniej wygnany.

Jak dotąd nic nie przeszkodziło mu w opiece nad synem Dragana, lecz im dłużej przebywa

w grodzie Karanawiców, tym bardziej ostateczna konfrontacja z Iwomirem Podkoliesinem oraz Skierką staje się nieunikniona...

(opowiadanie kończące historię Owizora jest już w drodze! - autor)